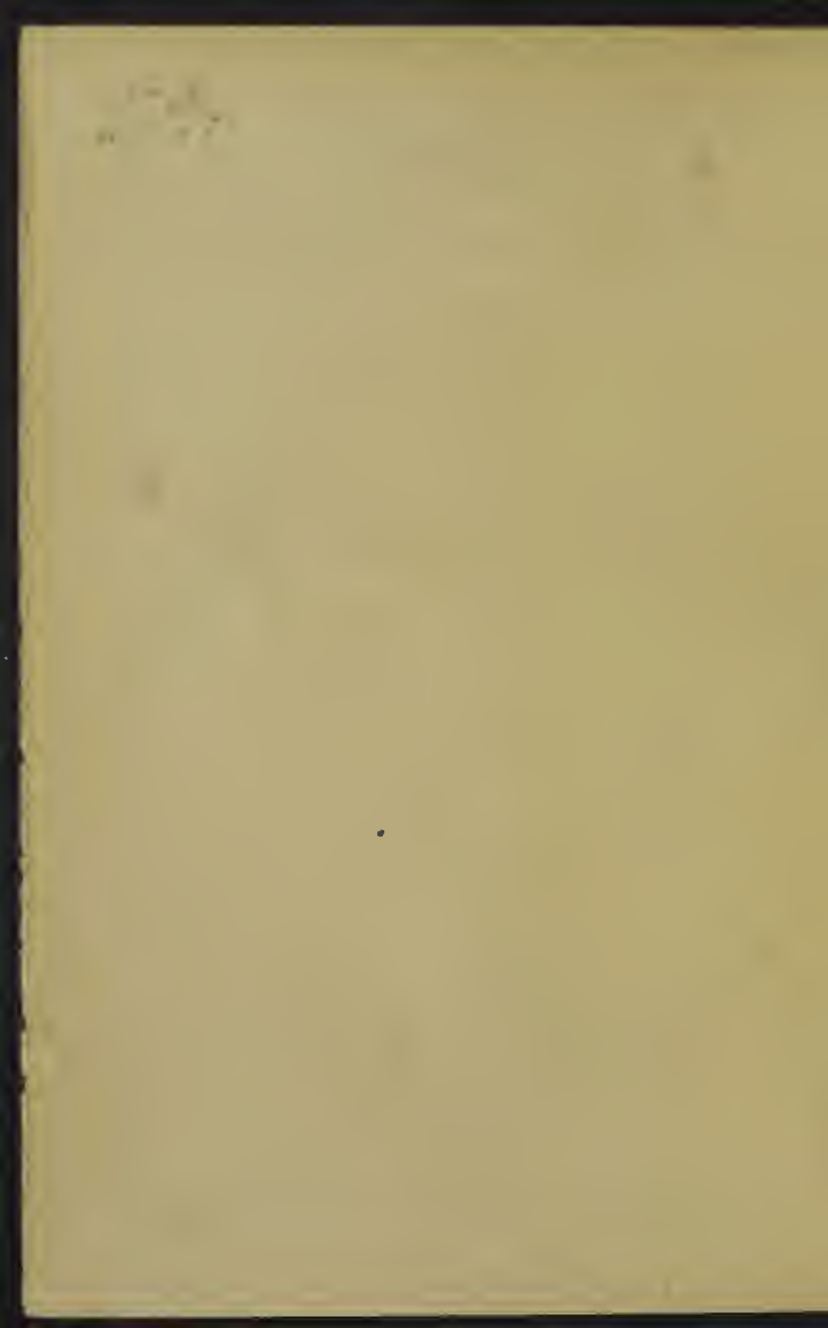


KRÓL CHŁOPÓW.



53

J. I. KRASZEWSKI.

POWIEŚCI HISTORYCZNE.

XIV.

KRÓL CHŁOPÓW.

CZASY KAZIMIRZA WIELKIEGO.

T O M IV.

KRAKÓW.

Nakład Spółki wydawniczej księgarzy w Warszawie.

Gebethner i Wolff.

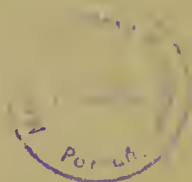
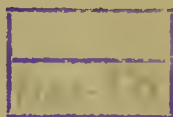
Maurycy Orgelbrand.

Michał Glücksberg.

G. Sennewald.

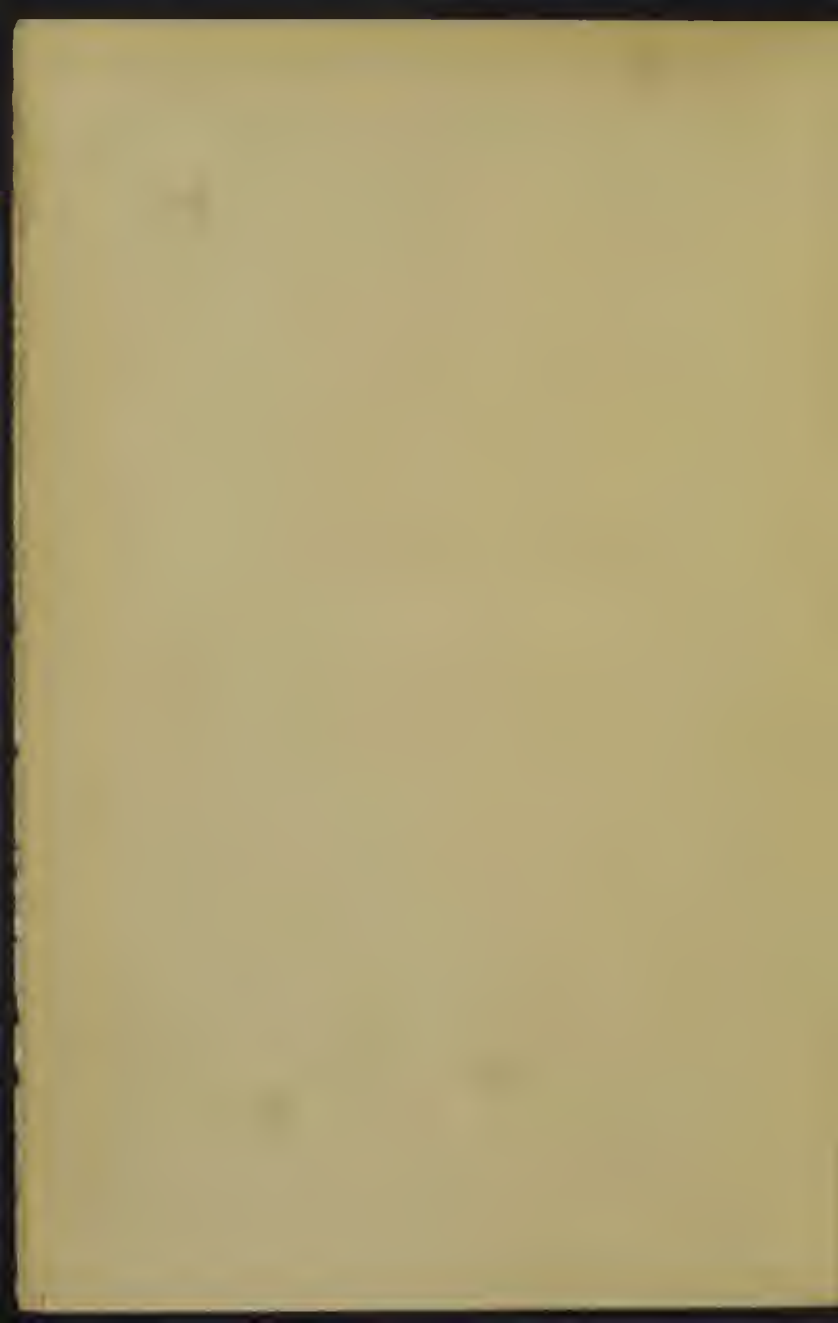
Edward Wende.

1881.



Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Spółki.

KSIEGA SIÓDMA.



Maciek Borkowicz.

Trzeci już dzień trwały gody na królewskim zamku, z temi wszystkimi obrzędami i przepychem, jaki weselom zwykł był towarzyszyć w owych czasach. Wysiłali się na nie zamożni ziemianie, król musiał karmić i obdarzać tłumy. Wszelkiego rodzaju rozrywki, zabawy, igrzyska, następowały jedno po drugim. Rycerstwo codzień miało gonitwy i turnieje; za niemi szły — rozdawanie nagród zwycięzcom, uroczyste tany, muzyka i uczta.

Właściwie, przez cały ciąg wesela uczta nie ustawała na chwilę, Zmieniano tylko opróżnione misy i wysuszone dzbany, a coraz nowi goście zasiadali przy zastawionych ciągle stołach, u których marszałek, podkomorzowie i inni urzędnicy dworu gospodarzyli.

Codzień prawie przybywał ktoś nowy z życzeniami i winszowaniem panu, z małym jakimś podarkiem, za który znaczniejszy ze skarbcu otrzymywał.

Rozdawano kożuchy kosztowne, jedwabiem i suknem okryte, postawy tkanin różnych, futra, naczynia srebrne, wedle godności osób i łaski pańskiej. Zapas wcześniej przygotowany dozwalał starczyć na wszystko. Król zdał się w tem na swojego Wierzyńka, a ten miał ludzi, którym ufał i rozdawnictwo szło razem hojnie a skrzętnie.

Na zamku wszędzie pełno było i gwaro, i, prawdę rzekłszy, od rana do wieczora—chmielno. Mało kto miał głowę całą i nie zapróżoną; znużenie wymagało posiłku — lada kubek szumiał w mózgu po bezsenności i trudzie.

Wśród pospolitej gawiedzi wesele w istocie wesołem się zdało, twarze były uśmiechnięte, policzki zarumienione, oczy błyszczące, postawy gęste, lecz, uważny widz, w górę idąc, ku starszyźnie mógłby był dostrzedz łącno obliczów coraz mniej rozpromienionych, poważniejszych, niemal smutnych...

Nie było to dziwnem, gdyż królewskie gody budziły uczucia bardzo różne. Znaczna część możnych i otoczenia pańskiego krzywem na nie patrzyła okiem. Wszyscy, co trzymali z królową Elżbietą i Ludwikiem węgierskim, przeciwni im byli, a tych liczba znajdowała się wielka. Jedni

ujęci podarkami, drudzy obietnicami swobód wielkich dla ziemian — nieradzi byli małżeństwu, które potomka obiecywało i — stary porządek rzeczy, wzmocniony tylko a ukrzepiony prawodawstwem Kaźmirza.

Król chłopów w sile wieku, miał czas jeszcze nowemi prawami ziemian i rycerstwo ukrócić — a innym mieszkańcom swojego królestwa nadać swobody, mogące równoważyć przewagę dawną stanu szlacheckiego, rycerzy, panoszków, ziemian, mających szczyty swe i zawołania.

Ludwik natomiast przyrzekał rycerstwu udział w radzie swej większy, oswobodzenie od opłat, wyjątkowe przywileje... Rycerstwo też nie zbyt mile patrzyło na to królewskie wesele — i po troszę na nie ramionami zżymało...

Ci, co króla namówili, sami tylko rozgłośnie prorokowali nową Piastów zieloną gałązkę i cieszyli się tem, że króla młoda małżonka zająć, a przy sobie utrzymać potrafi.

Spoglądano ze wszech stron ciekawemi oczyma na Kaźmirza, usiłując odgadnąć go i wyczytać z postawy, jakim sercem związek ten — jawnie mu narzucony, przyjmował.

To było trudnem. Królewska twarz z wiekiem coraz bardziej poważniejąca, zastygająca, nie zdradzała uczuć łatwo, gdy występował publicznie. Nawet ci, co go znali dobrze, nie zawsze odgadywali. Wydawał się chłodnym, obojętnym,

nieczułym wtenczas może, gdy najwięcej dozua-
wał. W naturze jego było, z wyjątkiem niewielu
istot mu sympatycznych, dla reszty się zamykać
i być — tajemnicą.

I czasu tych zaślubin kto mu na twarz pa-
trzył pilno, nie z niej wywnioskować nie mógł.

Był to król, który się żenił — człowiek się
nie zdradzał.

W niczem nie uchybiono ceremonjałowi i Kaź-
mirz go nie nadwerekzył. Uśmiechał się gdy było
potrzeba, uprzejmym był gdzie należało okazać
życzliwość, nieznudzony, wszystko co od niego
wymagały obrzędy, spełniał jak najściślej — lecz,
nadto nie więcej.

Żenił się — król polski, dla otrzymania po-
tomka — Kaźmirz zdawał się to tylko spełniać,
czego po nim wymagano.

Księżniczka była młoda, świeża, rumiana, pię-
kna swojemi latami i rozkwitnieniem, onieśmie-
lona razem i szczęśliwa z tego, co ją spotkało.

W dumę wzbijała ją korona, lecz i trwogą
napelniała.

Usłudźni ludzie różne jej historie podszepty-
wali. Piętnaście lat osamotnienia Adelaidy —
krótkie słomiane małżeństwo z Rokieczaną, ko-
chanka żydówka, samo oblicze Kaźmirza, chwi-
lami musiało wesolą, swobodną dość w ojcowskim
domu księżniczkę Jadwigę zatrwajać.

Dotąd... — zabawiała się dobrze, śmiała gdy

chciała, obcowwała na dworze swobodnie z panami, z rycerstwem, z mnóstwem gości z Niemiec przybywających; lubiła tany, śmiechy i rozmowy wesole... — teraz królową, okryta płaszczem purpurowym — przewidywała dla siebie dni smutne, długie, może więzienne.

Spojrzenie pierwsze na małżonka, który z wyszukaną grzecznością lecz z niezmiernym chłodem majestatycznym ją powitał, zwiększyło obawę...

Potrzeba było najsilniej przekonywających dowodzeń, ciągle kładzionych w ucho przez starą ochmistrzynię Konradową — aby ulękle nieco dziewczę uspokoić.

Konradowa, przebiegła i znająca swą księżniczkę od dzieciństwa, знаła też środki, jakimi na nią podziałać mogła.

Tłómaczyła jej, że żywot królowej nie mógł nigdy być nazbyt dokuczliwą niewolą, że były środki wyłamania się z niej potajemnie, że król zresztą sam zabawy lubił i żonie bronić ich nie mógł...

Ta chwila, co rozstrzyga o przyszłości — co pierwsze niezatarte wrażenie przynosi, na młodej królowej tylko trwogą się oznaczyła, na królu niewzruszonym chłodem...

Po tych dniach — ani jedno ani drugie z nich nie okazywało najmniejszej na sobie zmiany.

Konradowa pilno patrzyła na swą panią, ale zapytywać jej nie chciała o nic — obawiając wy-

wolać jakieś zeznania niemiłe. Wolala czekać na to, by się jej Jadwiga zwierzyła sama.

Oprócz starej ochmistrzyni niemal cały dwór pański z oka nie spuszczał nowego stadła, szukając jakiejs oznaki, któraby przysze jego stosunki mogła przepowiadać.

Nie zmieniało się nic — i nic odgadnąć nie było można. Dworzanie szeptali, iż właśnie to złą było wróżbą dla młodego stadła.

Lecz — wszystko się mogło później odmienić, bo czas wesela, nieustannych występów, nużących zabaw, uroczystych obrzędów — opamiętać się nie dozwalał. Królowa musiała ciągle przebierać się, wchodzić, wychodzić, zasiadać obok małżonka, kłaniać i dziękować, uczestniczyć jako królowa w turniejach... jako królowa przy uczcie, jako pani przy wielkim tańcu, który gonitwy dopełniał..

Ci, co najciekawszy byli przyszłości, a sami jej nie śmieli i nie mogli wywróżyć, zwracali się ku Kochanowi, o którym wiadano, że swojego pana znał jak samego siebie i że w nim czytał lepiej niż inni.

Rawa, dziś już podkomorzy króla, spoważniały, ale zawsze strojny i pięknego oblicza, w ciągu wesela ani chciał ust otworzyć na mnogie zadawane mu pytania.

Słuchał innych, nie mówił nic, przypatrywał się z dala.

Przy turniejach kilka razy Kaźmirz się nieco ożywił, zdawał się zajmować niemi, losem walki, potem wracał do swej zimnej, pańskiej obojętności. Królowa spełniała wszystko, co jej wskazano, z widoczną nieśmiałością — jakby się lękała objawić z tem, co ją zajmowało. Podnosiła oczy nagle, rzucała niemi trwożnie i spuszczała je wprędce, tak że ją otaczające panie z zadumy i roztargnienia wyrywać musiały, podszeptując, co czynić miała.

Nienawykła do strojów, jakie na nią teraz wdziewano, do tych ciężkich i licznych klejnotów, któremi ją okrywano, wydawała się ofiarą, uwieńczoną na jakiś obrzęd, który siły jej wyczerpywał. Czasem tylko oczy jej zbiegły ku dawniej znajomym twarzom, policzki okrywały się nagłym rumieńcem i wnet bladość wracała na nie.

Wśród gości, ze wszystkich ziem polskich przybyłych, znajdował się i — Maciek Borkowicz, który ze świetnym poczem uczcić królewskie wesele przyciągnął z Wielkopolany.

Zapobiegając temu, by go nie podejrzewano o jakieś złe myśli względem pana, wyrywał się chętnie naprzód, ukazywał wszędzie, odzywał głośno, i czynny udział brał w zabawach weselnych.

On i brat Jasko z Czacza występywali z niezwykłym przepychem. Niepospolitej siły oba, w rycerskich sprawach zręczni i wprawni, stawali oba do wszystkich igrzysk, poodziewani

w wykwintne stroje, odznaczając się końmi, siadzeniami i rzędami.

Maciek nastroczał się ciągle na oczy królowi, nadbiegał gdziekolwiek go dostępnym postrzegł, spieszył tam, kędy mu się zdawało, że woli i życzeniu pańskiemu będzie mógł dogodzić.

Nie bardzo mu się z tem wiodło: król, choć nie okazywał mu wstrętu, nie dał też najmniejszej oznaki przychylności.

Spoglądał nań ciekawie zdala. Pierwszych tych dni, czasu igrzysk w szrankach, w których młoda królowa była przytomną — Maciek ubrany i zbrojny z wielką wykwintnością i blaskiem, widocznie szukał miejsca, aby się jej pokazać i zwrócić na siebie oczy...

Królowa też nie mogła go nie poznać i nie widzieć, lecz im mocniej się narzucał, tem uporczywiej zdawała unikać nawet pobieżnego nań spojrzenia. Drgała, ilekroć głos jego dał się słyszeć, odwracała głowę z trwogą i niepokojem.

Borkowicz wśród gości zamkowych był jednym z najruchawszych, przy stole jednym z najgłośniejszych wesółych i najlepiej udających wielkie uszczęśliwienie...

Dziwili mu się ci, co go w poufałym obejściu innym znali. Neorża, który tu też, otrzymawszy przebaczenie królewskie, dla oka ludzkiego się znajdował, spoglądał na Borkowicza, „jakby oczom i uszom niedowierzał.

Zdawało mu się, że człowiek ten kłam zadawał dawnym swym sprawom i na nową wejść musiał drogę, chociaż ukośne, szyderskie spojrzenia Borkowicza inaczejby go nauczyć mogły.

Trzeciego tego wieczora, na Zamku rozpasanie zabawą i ucztowaniem, mimo pilnego dozoru podkomorzych, marszałka i mnogich nadzorców, wzmogło się do najwyższego stopnia.

Radość z wypadku tak pożądanego usprawiedliwiała swobodę, jakiej sobie dozwolano. Trudno było młodzieź i dworzan utrzymać w karności, i gdy w wielkich izbach zamkowych brzmiała muzyka, a co było najprzedniejszych gości, ucztowało lub szło w tany — gawiedź, czeladzie, pomniejsza dwornia po różnych kątach, a nawet w podwórzu u okien zamkowych, w takt muzyce obracała się wesoło, porywając służebne do skoków...

Konradowa, ochmistrzyni, z królową przybyła, rozpaczała, nie mogąc swych dziewcząt utrzymać, ani drzwi od napaści młodzieży obronić.

Wpadali do niej znajomi i nieznajomi, niepokojąc podżyłą, skwaszoną i znużoną jejmość, która strojna w to, co miała najdroższego, opuszczona, sama jedna, czekać musiała na zawołanie królowej, mogącej co chwila jej zażądać.

Wiedziała dobrze, iż młoda pani nie obejdzie się bez niej. Prawie sama jedna pozostawszy, rozmyślała nad czemś, oparta na rękę chudych,

okrytych pierścieniami, gdy drzwi uchylono ostrożnie...

Skrzypnięcie ich zwróciło jej uwagę, podniosła się nieco, chcąc dojrzeć, kto jej spokój zakłócił, lecz przez mało co roztwarte podwoje nie dojrzeć nie mogła, oprócz błyszczącego w nich oka...

Nadechodzący zdawał się rozpatrywać bacznie, nimby się wnijsć odważył. Z namarszczoną brwią, i coraz bardziej nadąsana ochmistrzyni już miała zawołać groźnie, aby drzwi zamykał—gdy właśnie się one szerzej otwarły zwolna i — Maciek Borkowicz, dobrze jej znany, na progu ukazał.

Konradowa poznawszy go, nie mogła pokryć przestachu i zakłopotania, jaki ją na widok natrętnego pana, z którym ją dawne wiązały, dziś niewygodne stosunki — ogarnął.

Borkowicz miał twarz rozweseloną, można było powiedzieć rozzuchwaloną — szedł, śmiejąc się ku babie, która drżała, ręce złożywszy.

Widząc jej trwogę, Maciek przybliżył się do stołu i opierając oń — odezwał.

— A co? jam tu jest! Widzicie, żem za waszą poszedł radą — królową została nasza księżniczka... alem ja starszy u niej niż mąż i król.. i moich praw wyrzekać się nie myślę — tylko z nich korzystać.

Starej mowa na ustach zamarła.

— Co z wami? co z wami? — odezwała się

głosem zadławionym i drżącym — opamiętaj się człeczko! Pocoś tu przyszedł, nieszczęście na mnie przynosząc z sobą?.. Jakie masz prawa?!

— Jakie? he? — odparł Maciek zuchwale, ja i wy zarówno wiecie! Alboście mnie z księżniczką tajemnych schadzek nie ułatwiali?

— Cicho... — krzyknęła stara, uszy sobie zatulając... Jakie schadzki! jakie! Ona nigdy z wami sam na sam i na jeden pacierz nie pozostała...

Oburzała się coraz więcej Konradowa...

— Mało ją kto po rękach całował jak i ty— zawolała— a co z tego za prawo komu rośnie?

Borkowicz uśmiechnął się, i naprzeciw lampki rękę podnosząc, błysnął starej przed oczyma pierścieniem.

— A to, co? — zapytał jej. — Niby nie znasz tej obrączki z oczkiem i nie wiesz czyja ona była, kto mnie ją dał i kiedy? Któż do tego pomagał? Słuchaj, stara, albo ty mi dalej służyć musisz, albo cię zgubię i wszystko wygadam. Maćka Borkowicza ludzie znają i zowią go—zuchwałym, bo jest zuchwały!! Ze mną żartów nie ma...

Stara oczy zakrywszy, płakać zaczęła.

— Darmo nie szlochaj — odczuwał się Maciek — ja com raz sobie osnuł, tego nie odstąpię i nie porzucę... Królową ona jest—zgodziłem się na to—niechaj sobie nią będzie—ale ze mną zrywać nie może! Mam słowo...

Konradowa nie zdawała się słuchać. Jedną ręką oczy zasłoniwszy, drugą mu dawała znaki, by milczał.

Podniecony napojem może i krwią gorącą, Borkowicz ani myślał ustępować.

— Czegoż chcesz? czego? — odezwała się rozpaczliwie stara... — chyba, jak mówisz, zgubić mnie...

— Gubić nie chcę — rzekł Maciek — a no, służyć musisz...

— A jak ja tobie tu służyć mogę? Oszalałeś! zawołała coraz bardziej trwożąca się, oglądając na wszystkie strony, ochmistrzyni, obawiając być podsłuchaną.

Borkowicz zrozumiał to zapewne i pochylił się ku niej.

— Ja z królową widzieć się muszę — rozumiesz ty to! — zawołał pospiesznie, za rękę ją targając. Nie nie pomoże...

Konradowa nie słuchała go...

— Król albo dziś w nocy, lub jutro... z zamku potajemnie wyjedzie — Jadwiga zostanie samą. Żebyś ty mnie nie mogła do niej na chwilę rozmowy wprowadzić!

Stara krzyknęła i oburącz trzepać zaczęła...

Zmilkzał Maciek, dając się jej wyburzyć.

— Nic nie pomoże — odparł — ja z nią widzieć się muszę...

Jak Bóg Bogiem — widzieć się będę — i to

na cztery oczy, a ty musisz drzwi pilnować...

Szyję swą stawię — ja to wiem, ale się to stanie, lub ciebie zgubię...

Wśród łkania starej, niewzruszony Maciek stał czekając i rozpatrując się po izbie...

— A znajdą mnie tu — dodał, śmiejąc się — no, to powiem, że dla was tu przyszedłem. Nie zrobi wam to niesławy, że takiego jak ja kochanka macie...

Żart ten więcej jeszcze oburzył starą; pokazała mu na drzwi, Borkowicz stał nieporuszony...

— Ależ szalony — poczęła po chwili Konradowa... Toż tu na nas, na młodą królowę, tysiąc oczów patrzy...

— To co? — odparł Maciek... — Teraz nikomu nie postanie nawet w głowie, aby się kto śmiał do królowej przekradać?

Właśnie to pora — lub nigdy...

Wszyscy oszołomieni, nikt oczów niema a podejrzania nie powoźmie nikt. Prędzej uwierzą, że podpiwszy Borkowicz, młodej nie znalazłszy, do starej poszedł na zabawę.

Odpychała go od siebie napróżno Konradowa, stał uparty.

— Nie odejdę ztąd, aż mi słowo dasz... — rzekł. — Nie darmom przyszedł... Chcesz, nie chcesz, a musisz... albo o pierścieniu historję powiem — niech ci choć szyję ukróca!

Wyczekał chwilę, nie otrzymując odpowiedzi, tylko przeciągłe stękanie i jęki.

— Powiadam ci — powtórzył. — Król albo dziś, lub najdalej jutro się do Estery swojej wykradnie, chorym uczyniwszy. Królowa będzie sama. Wpuścić do niej mnie musisz...

Nie nie pomoże — dodał — ja się niedam odegnąć. — Złęknie się pewnie i oua, nie zechce może tak jak i ty — powiedz jej toż samo...

— A to z was dobry przyjaciel! — krzyknęła Konradowa — po to wymodliliście pierścień, aby nim straszyć?

— Na cóż by mi się inaczej zdał? — rozśmiał się bezwstydnie Maciek. — Albow to ja jak te niemcy lub francuzi, co lada kawałek wstażki noszą lata całe na piersi, dla miłości niewiasty!?

Rozśmiał się dziko...

— U mnie niewiasta niewiaścą, choćby die sięć razy królową była!! A nie zechce mnie znać...

Konradowa, gdy to mówił, oczy nań podniosła, zobaczyła twarz z wyrazem dzikim i rozpasanym, drgnęła ze strachu, i opamiętywając się powoli, rzekła zająkliwie:

— Idźcie ztąd... idźcie... Zrobię, co mogę. Królowej powiem... Niech na waszą głowę spadnie nieszczęście...

Zamruczała coś niewyraźnie.

— Mówcie z nią, a rychło — dodał Maciek śmiało i natarczywie. — Powiedźcie jej, com wam

oznajmił... Nie będzie inaczej, musi mówić ze mną. Króla nocą dziś lub jutro na zamku nie stanie... Wpuście mnie...

Konradowa płakać znowu zaczęła, głowę zanurzywszy w dłonie. Popatrzył na nią Borkowicz chwilę — targnął za rękaw i dodał jeszcze:

— Najdalej jutro... słyszysz — bo ja czekać nie będę, a ztąd nie odjadę, aż się z nią rozmówię..

Rób co chcesz! Nagrodzę po królewsku, ale zgubię po katowsku, gdy mnie oszukasz.. Maćka Borkowicza znają ludzie, co on pocznie, to do końca doprowadzi. — Pamiętaj.

Jeszcze raz ją napróżno za rękaw targnąwszy, Borkowicz zwolna z izby się wytoczył, nie bardzo nawet strzegąc, by postrzeżonym nie był.

Wyszedł tak pewien siebie jakby ani wątpił, że zuchwały krok, który zamierzył, musi się spełnić, wedle jego postanowienia.

Zamknęły się za nim drzwi, gdy Konradowa, jak rzucona siłą jakąś obcą, z siedzenia się porwała, i ręce załamawszy, poczęła po izbie chodzić, coraz to za głowę się chwytając, to palce zaciskając rozpaczliwie.

Tymczasem na zamku zabawa trwała.

Szukała w głowie sposobu, jakimby się zbyć mogła niebezpiecznego człowieka i rozmyślała jeszcze, znaleźć go nie mogąc, gdy śmiało ktoś we drzwi zastukał i natychmiast wszedł na próg.

Był to podkomorzy i ulubieniec pański, Ko-

chan Rawa, którego Konradowa już знаła i z twarzy i z rozgłosu, bo wcześniej jej o tem mówiono, że on u pana swego był najulubieńszym i najmłodszym.

Ze śmiałością człowieka, który prosić o nic nie potrzebuje, a rozkazy przynosi — stawił się Kochan, ledwie starej głową skinąwszy.

— Mam do was zlecenie od pana — rzekł krótko, wpatrując się w nią bacznie; bo załamane jej oczy i twarz trwogą napiętnowana uderzyć go musiały.

Przerwał sobie i wtrącił.

— Coście to tak zakłopotana, moja jejmość? Juściż źle u nas na dworze ci nie jest, ani na czem zbywać może?

— Nie mi, nie, prędko przerwała Konradowa.

— U nas płakać nie powinniście — mówił Kochan — pan dobry, nagroda hojna, ale panu też służyć dobrze potrzeba i wiernie.

Otoż, posłuchajcie.

Tu obrócił się dokoła, oczyma szukając po izbie, czy jakiego niepotrzebnego świadka nie było.

— Posłuchajcie—powtórzył.— Król, pan nasz, nie tak młody jest, aby go to wesele i występowanie nie znużyło. Jemu trzeba odpocząć — ale ludzie o tem wiedzieć nie powinni, że królowę samą zostawi. Niechby i ona też trochę sobie wypoczęła...

Spojrzał na Konradową, która pobladła.

— Cóż? dziwu w tem nie ma — dodał — ale na ludzkie języki nie trzeba tego dawać, bo ludzie wnet to wyszpocą. Rozumiecie?

Drżąc, stara głową skinęła.

— Dziś? — zapytała...

— Dziś — albo jutro, nie wiem jak pan postanowi — rzekł Kochan — a no, panią uprzedźcie, że nie z niechęci ku niej to uczyni, ale z dobrej woli...

Konradowa powtórnie głową dała znak, iż zrozumiała — Kochan jednak stał przed nią, jakby coś jeszcze miał do powiedzenia.

Badał ją oczyma, chcąc odgadnąć nieznaną prawie jeszcze kobietę, którą milczący ten wzrok, wlepiony w nią — niepokoić zaczynał. Powtórzyła mu, że postąpi jak jej polecono.

— Król, pan nasz — dołożył Kochan — miłościwy jest wielce i szczodry — trzeba, abyście łaskę jego pozyskali sobie, a z nią dobrze wam będzie...

Konradowa, której na myśl przychodził tylko co odprawiony Borkowicz, pod wrażeniem strachu, jakim ją nabawił, co prędzej się chcąc zbyć Rawy, skłoniła głowę, ręce rozpostarła, postawę przybrała uległą i pokorną. Kochan popatrzył na nią i wyszedł.

Gdy się to działo w komorze starej ochmi-strzyni, królowa była jeszcze w sali, w której się

tańcom przypatrywała, odmówiwszy w nich udziału. W komnatach panowało życie i gwar wielki, jak zwykle ku końcowi długiej zabawy, gdy i najchłodniejsi się rozochocą, i starzy nawet powracającą resztkę młodości poczują w sobie.

Król, który się kilka razy w ciągu dnia tego zbliżał do żony i starał się ją ośmielić, widząc znękaną jakąś i zbyt bojaźliwą, w końcu uznał najlepszem pozostawić ją samą z paniami dworu i gośćmi, którzy ją otaczali. Rozmawiał z kolei z kilką starszemi o sprawach różnych, przypatrywał się zabawie, czynił co mógł, aby się okazać wesołym, lecz widać w nim było roztargnienie jakieś i złe skrywaną niecierpliwość.

Trwające już dni trzy neztownie, nie dziw, że go znudzić mogło. Goście mieniali się, wypoczywali, on i królowa ciągle starczyć im wszystkim musieli sami.

Nie zdziwił się więc nikt, gdy wkrótce potem królowa pierwsza niepostrzeżenie się wysunęła z sali i znikła, a król, skinąwszy na Kochana, zwolna zbliżył się ku drzwiom, wiodącym do komnat swych, i opuścił zabawę.

Marszałkowie jednak, podkomorzowie, urzędnicy dworni, mieli snać rozkazy przyjmowania gości, dopóki by bawić chcieli, gdyż taniec i neztownie u stolów nie stało.

Odejście obojga królestwa nie zdziwiło nikogo.

— Jak na nowożeńca, miłościwy pan nasz —

szepnął do siedzącego przy sobie Spytka Ligęzy młody panicz z Melsztyna — trochę ma za posępne oblicze.

— Bo zmęczony — odparł Ligęza — a może i wesele to, narzucone mu, do którego ludzie zmusili, nie bardzo do smaku.

Melsztyński się rozśmiał.

— Co mówisz? — odparł — królowa jak kwiat świeżo rozwinięty, hoża, a nasz pan kobiety lubi, czemużby nie miał być rad, że mu ją dano?

Ligęza ramionami ruszył.

— A przypatrywaliście się dobrze królowej? zapytał. — Że hoża jest, nie przeczę, ale czegoś też smutna.

— Toć wiadomo — rzekł drugi — iż niewiasty nie okazują nigdy, jakby z małżeństwa rade były, bo się sromają... To u nich prawo i obyczaj...

— Przytem królowa Jadwiga — szepnął Ligęza — może sobie przypomina swe poprzedniczki, nie licząc Aldony...

Spojrzeli na się — lecz żaden z nich dłużej rozmowy tej prowadzić nie chciał, i byliby o czem innem rozpoczęli, gdyby do nich, wszędzie się wciskający, rubasznie rozochocony, nie przystąpił Maciek Borkowicz.

Zdawało się, że musiał coś zachwycić z tego co mówili, bo wtrącił, spoglądając na Ligęzę.

— Za wdowców za mąż iść i wdowcem się żenić — choćby królami byli... nie dobra sprawa...

Uważaliście, jaki król posepny, choć się śmieje? Bo mu też biskupi gwałtem dali tę białą gołębicę szlążką, kiedy on pono jeszcze swojej żydówki nie porzucił!

Swobodna ta mowa, na zamku trochę dziwna, nie wywołała odpowiedzi, młodzi spojrzeli na się. Borkowicz rozparty przed niemi, siadłszy, ciągnął dalej.

— Nie dałbym złamanego grosza za to, że jednego z tych dni król od godów — uciecze!!

— Nie mówcież tak — wtrącił młody z Melsztyna. — Ktoś posłyszysz i ogadają was znowu...

— Ogadany już jestem — rozśmiał się Borkowicz — a to, co prawię, o tem wróble na dachach śpiewają. Właśnie dla tego, iż mi króla żal i że go miłuję — z litości nad biednym panem stękam nad jego dolą. Czasem, gdy się człowiekowi jeść nie chce, a dadzą mu misę przed się, choćby z najlepszą strawą... kością mu ona w gardle staje; co dopiero ożenienie!! Biedne panisko nasze, no — i biedna królowa...

Spojrzał na siedzących przy sobie, a Ligeza, który go nie lubił, burknął:

— Hej! hej, panie starosto! mnie się zda, że niejeden, co niby pana żałuje, prędzej mu chyba zazdrości... Szczególnie wy, coście pono na dworze szlążkim bywali, a gadki chodziły o was, żeście do księżniczki przysuwali się bardzo... — nie powinniście się z tem odzywać.

Borkowicz rzucił się z ławy.

Upomnienie o tem, czego on jeszcze rozgłaszać teraz nie życzył sobie, ubodło go. Surowo wzrokiem się odciął Ligęzie, z góry nań spojrzawszy, brwi ściągnął, i oddalił się, nie mówiąc nic.

Gdy królowa, przeprowadzana przez kasztelanową krakowską i panią z Tęczyna — weszła do swej komnaty, żegnając je w progu, z drugich drzwi, czatująca już na powrót jej ochmistrzyni, spieszyła na przyjęcie.

Uśmiech na twarzy księżniczki trwał póty, póki dwie matrony, co ją odprowadzały, nie pożegnały — zaledwie się znalazła sama, padła na siedzenie, chwytając się za głowę.

Konradowa łasząc się, z czułością starej piastunki, okazując litość nad nią, zbliżyła się ku swej pani.

— Królowo ty moja — poczęła słodkim głosem — zamęczyli cię temi gody! Prawda?

Jadwiga zadumana, cała w sobie, nic jej nie odpowiadała.

Pochyliła się nad nią stara ochmistrzyni, szepcząc głosem, który starała się uczynić wesołym i swobodnym, choć w nim drgało nieukożone jeszcze rozdrażnienie.

— Dawniej, gołąbka moja lubiła zabawę! lubiła! Ale teraz... już jej ma do przesytu...

Tobie by, królowko moja, spocząć? spocząć? Zdejmę szaty! zawołamy służebne... Możebyś sobie tu odetchnęła dziś, zasnęła? prawda?

Królowa jeszcze nic nie odrzekła.

W czasie, gdy się to działo w komnacie Jadvigi, w tuż przytykającej komorze, w której siadywała stara ochmistrzyni, słychać było chód, jakby mężki. Przechadzał się tam ktoś tak, jakby chciał, aby kroki jego głośne były i uwagę zwróciły.

Przełęcznionej Konradowej zabrakło nagle głosu, nastawiła ucha, dała znak swej pani, i, o ile jej wiek dozwalał, pobiegła do swego mieszkania. Lękała się tu ujrzeć niegodziwego Borkowicza, którego zuchwalstwo miary nie miało.

Odetchnęła, gdy drzwi otwierając, postrzegła Kochana Rawę. Cekał on na nią, zbliżył się żywo do jej ucha i rzekł:

— Król bardzo znużony, no i królowej mu żal, bo i ta spoczynku potrzebuje... Dziś... będzie u siebie w komnacie spał...

To rzekłszy, i patrząc na starą, aby wyrozumić, czy dosłyszała co jej oznajmił — Kochan dodał.

— Trzymajcie to przy sobie...

I wyszedł prędko.

Stara, która oczy miała dobre i nie jej uwagi nie uchodziło, dostrzegła, iż Kochan, który nie dawno wszedł do niej w ubiorze bardzo wykwin-

nym, jak występował na zamku — teraz miał na sobie suknie i płaszcz, jakby do podróży narzucony.

Zdziwilo ją to trochę.

Z obawy, aby kto inny z drzwi niezaryglowanych nie skorzystał, Konradowa poszła za Rawą i zasunęła je mocno.

Wróciwszy do królowej, zastała ją jeszcze siedzącą w krześle, dumającą, z oczyma w podłogę wlepionemi i zwolna zdejmującą z siebie ciężkie klejnoty.

— Stało się, jak ja chciałam dla gołąbki mojej — poczęła, przybliżając się i sama zdejmując strój z głowy Jadwigi — będziesz miała spoczynek, bo i król znudzony wielce. Dali mi znać, że ja tu mojej pani posłać mogę...

Na twarz Jadwigi nieodgadniony wystąpił rumieniec. Konradowa, nawykła do tych częstych płomieni na licu wychowanki, często bardzo blednącej i zaczerwienionej, bez żadnej na pozór przyczyny — niezważała nań.

Usta się jej nie zamykały, a oczy badały nie-spokojnie panią.

Jadwiga mało się przysłuchiwała paplaniu starej, cała była w sobie długo — potem, gdy ozdoby jej z głowy i szyi zdjęła, gdy suknię ciężką rozpięła, jakby czując się swobodniejszą, zwróciła się do niej.

Miała ściągnięte brwi i wyraz surowy a zagniewany.

— Słuchaj Konradowa — rzekła — tybys powinna — dopytać tego Borkowicza...

Zatrzymała się chwilę.

— Tak — powinnaś mu powiedzieć, żeby mi się nie ośmiał ani tak patrzeć na mnie, ani tak poufale cisnąć! Niegodziwy człek... niegodziwy! Nie śmiałam dziś oczów podnieść, żeby natrętnych jego zerknięć na mnie, mrugań i nśmiechów nie widzieć!

Stara, trzymająca w ręku naszyjnik, rzuciła go na stół i załamała je, do twarzy przysuwając.

— Patrzcie, co za zuchwalec! — wybąknęła — miłosierny Jezn, co z nim począć! co począć!

Królowa milczała chwilę.

— Poczynajcie sobie z nim, co chcecie — rzekła powoli — wyście go mnie naprowadzali w Głogowie, wy podarki nosili, wy jego sprawę popierali, teraz go sobie weźcie — niech go nie znam... Zły człowiek i głupi.

Z wielką uwagą przysłuchiwała się słowom tym, niespodzianym dla niej, stara — głową potrzasała i oczy wywracała.

— Boże miłosierny! — szeptała — Boże! co za człek! co za człek!

— Ja go już znać nie chcę! — powtórzyła królowa — rób z nim co możesz — a — precz go odegnąć.

Namyślała się chwilę stara, przyklękła przed siedzącą panią, podniosła oczy ku niej i szeptala:

— To mało jeszcze, że on na moją królowę patrzeć śmiał i że się cisnął do niej. Na to by nikt nie zważał... ludzi dosyć, nikomu na piękną panią wpatrzeć nie wzbroniono... Mało tego! Ale co ja powiem gołąbce mojej — włosy wstają na głowie! Nie powiedziałabym była może nic, aby darmo nie trwożyć, ale co ja z nim poradzę?

Królowa podniosła wzrok na nią i oczy wlepiła w wylekłą.

— Mało tego, że tam się cisnął — kończyła Konradowa — ale kiedy ja tu siedziałam sama, sama jedna, bo tu teraz do mnie i stróż nawet nie zajrzał, — na raz... kto wchodzi... Maciek Borkowicz...

— Gdzie? tu? — zapytała królowa.

— Tu, do mojej izby — dodała, wskazując na drzwi palcem stara. Tu — tak mi Boże dopomóż. A z czem przyszedł?... Trzeba go było posłuchać! Powiada — pierścień od niej mam.... Pierwej ona mnie się uśmiechnęła niż królowi, chcę mówić z nią, chce się widzieć sam na sam...

Królowa drgnęła i rzuciła się na krzesło nie spokojna. Nowy rumieniec oblał jej nie tylko twarz, ale białe, obnażone ramiona. Oburzenie wyryło się na twarzyczce...

— Tak! tak — mówiła dalej, tajemniczo się przysuwając, Konradowa. — A nie zechcesz mnie

wprowadzić do niej i nie zrobisz co każę — to cię zgubię, wydam, oskarżę. — A nie zechce królowa mówić ze mną, pochwałę się pierścieniem, gotówem na wszystko!!

Łzy płynęły z oczów Jadwigi...

— Patrz, stara — coś ty mnie uczyniła? — szepnęła z wymówką.

— Ja? ja? — zapytała zegnając się Konradowa. — Królowo moja, gołąbko ty moja — przypomnij tylko dobrze? Gdybyś mu się w tańcu po turnieju nie uśmiechnęła, gdy cię za rączkę prowadził, gdybyś z nim nie szeptała i nie śmiała się ochotnie, alboby on ważył się do ciebie przysuwać? alboby mnie prosił, abym ja go do ciebie potajemnie przyprowadzała?

Królowa usta jej białą, silną ręką zamknęła.

— Milezże — zawołała — milez już! Gdyby nie ty, nie byłoby tego wszystkiego... Co ja, młoda, wiedziałam, czy źle, czy dobrze czynię? A toć się chwalił, że on księciem wielkopolskim zostanie, że go książę brandeburski prowadzi, że pannać będzie i żenić się ze mną! Com ja winna!

Stara głową kiwała tylko.

— Królowo ty moja — rzekła — kto tu ma być winien? Ani ty, ani ja, tylko ten zuchwalec... Nielatwo się babom od takiego czleka wyzwolić... Nielatwo! Boże miłosierny... zna on wszystkie sposoby! zna! — Zły człowiek! ale co ja z nim teraz pocznę sama...

— Rób co chcesz! — powtórzyła królowa...

— Było mu to pierścień dawać przy ostatniem widzeniu — szepnęła stara — albow i ja to też sprawiła! Ja nie wiedziałam o niczem, aż mi go wychodząc, na palcu ukazał..

— Gwałtem mi go z ręki ściągnął—przerwała przełękła i płacząca Jadwiga.—Nie mogłam krzy-
czeć—siłą wziął! Wiedział zbój, na co to czynił!

Obie kobiety zamilkły, królowa płakała, stara, czoło, trąc przemyśliwała i stękała.

— Zbój! zbój prawy jest — rzekła. — Teraz z pierścieniem tym na palcu... grozi nam i co zechce uczyni...

Już—mówiła przestankami —zapowiedział mi, że król albo tej nocy, lub następnej z zamku zjedzie...

— Dokąd? — spytała Jadwiga.

— Któż to wie? do swej żydówki może! — dodała Konradowa. — Ale jak on to naprzód mógł wybadać?? Widzicie...

Co ja mu powiem, gdy przyjdzie napastować mnie? Mnie na to rozumu nie stało... Gdybym co chciała mówiła, ani mnie nie posłucha, ni ustąpi. Pierścień ten trzeba wykupić, choćby nie wiem, jaką ceną... Ty, królowo moja, ty go musisz przyjąć i mówić z nim!!

— Ja! nigdy! — zawołała królowa, z krzesła powstając.

— Zgubi nas—szepnęła stara—nie ulituje się...

Pomileczała trochę i dodała.

— Królowej on nie odmówić nie będzie śmiał, pierścień odda. A póki go ma... dla nas pokoju nie będzie... Tak! tak, królowo moja...

Jadwiga, nie mówiąc nic, rzuciła głowę.

— Widzieć go nie chcę, znać nie chcę, czyń co wiesz i jak umiesz... Pierścień mi on gwałtem zdarł — a wiesz jaki on był? wiesz, że ten jest, co mi go król pierwszy na zrękowiny przysłał?

Konradowa krzyknęła...

— Zgubi nas... moja głowa na karku niepewna... Tobie, królowej nie stanie się nic, sromać się będą obwinić, głosić nie będą śmieli, a mnie... stryczek na szyję...

To mówiąc, Konradowa rzuciła się twarzą na podłogę i szlochała. Królowa padłszy na siedzenie znowu, siedziała w niem, jak martwa.

Długi dość czas upłynął, nim stara do siebie przyszła i ocuciła się nieco. Wspierając się na rękach, podniosła zwolna z ziemi i z twarzą zmienioną zbliżyła się do swej pani.

— Posłuchajcie mnie—zaczęła—posłuchajcie... My się go nie pozbędziemy inaczej. — Niech już przyjdzie, wyjdziecie doń do izby mojej na chwilę, każecie pierścień oddać, będzie musiał... Ja od progu nie odejdę... Obawiać się go nie masz czego...

Przyrzeczesz mu łaskę swoją... a więcej go potem na oczy nie puścim... Ale pierścień zdarty z ręki oddać musi...

Mnie on go nie da... Zły człek jest! Kto wie, co sobie myśli, i jaką cenę na niego nałoży...

Ostatnie słowa cicho szepnęła Konradowa i spojrzała na królowę, która się wzdrygała oburzona. Nie odpowiadała nic z początku, potem z zaciśniętych ust dobyło się.

— Nie chcę go widzieć! Czyni co chcesz! nie mogę. Zgubiłaś mnie ty... ty...

I płakać zaczęła królowa.

Służebne jej, w trzeciej izbie napróżno oczekując, aby je ochmistrzyni zawołała — szeptaniem półgłosnem i śmieszkami zwróciły na siebie królowej uwagę, dała znać starej, aby je zawołała.

Konradowa ręce załamała przed nią.

— Co mu powiem? — chwytając ręce, które całować chciała, rzekła cicho. — Ja się go nie zbędę jutro... Czatować będzie na mnie...

— Ani mi się waży go tu puścić! — odparła Jadwiga... — Rychlejby mnie to zgubiło niż ten pierścień nieszczęśny... Widzieć go nie mogę i nie chcę.

Stara niespodziany opór znalazłszy w swej wychowanicy, której poznać nie mogła teraz, wstrzymała się już od nalegania. Zawołała służebne i sama im przodując, z nadzwyczajną troskliwością przystąpiła do rozbierania z szat reszty, do przygotowania łoża pani.

Wszystkie te starania Jadwiga przyjmowała z obojętnością, nie odzywając się ani do niej, ani

do służebnych, dając bezwładnie czynić z sobą co chciały i spiesząc do swego łóża.

Konradowa wszystko w komnacie rozporządziwszy, dziewczęta, które przy królowej czuwać miały, wyznaczywszy — sama jeszcze poduszki układając, poszeptala coś i wyszła.

Rachowała na to, iż co się jej pierwszego dnia nie powiodło, później naleganiami i namowami na dość posłusznej dotąd pani — wyrobi.

Zmienioną ją znajdowała — i to tylko przestraszało. Spoważniało pod koroną młode dziewczę, siła się w niej znalazła, której nie było wprzód.

Nazajutrz rano, choć nie tak zawczasu, jak dni pierwszych, gody się rozpoczęły na nowo.

Do dziesięciu dni najmniej ciągnąć się one musiały, i ugaszczanie tych, którzy dłużej pozostali. Król rano się ukazał, jak gdyby z zamku nie oddalał się wcale, a na twarzy jego wszyscy postrzegli zmianę, jakby wypoczął i orzeźwiał.

Gotowano się dnia tego do nowego turnieju. Rycerzy przybyło kilku, którzy radzi się popisować chcieli ze zręcznością swoją. Król zdawał się zajmować tem wielce — i szczyty ich wystawione oglądał. Królowa później niż zwykle wyjść chciała. Posłano z oznajmieniem, zgodził się na to Kaźmirz.

Jak dni poprzedzających, Borkowicz w szrankach do gonitw przygotowanych krzątał się,

kręcił, gospodarzyć nsiłował i starał zwracać na siebie wszystkich oczy.

Król tylko pomijał go, i nie dawał się niczem ze swej obojętności dla starosty wyprowadzić. Zły to był znak dla niego, lecz zuchwały człek wcale się nie zdawał czuć, iż zagrożonym był niełaską.

Nie odejmowało mu to pewności i śmiałości, z jaką występował.

Ku południowi już wszyscy byli u zastawionych stołów, a stara Konradowa w swej izbie, postępując, przechadzała się, gdy wcale niespodzianie, wypatrzywszy porę i rachując, iż ją samą zastanie — wpadł do niej znowu zuchwały Borkowicz.

W biały dzień przychodził, nie kryjąc się wcale z sobą.

Konradowa z początku osłupiała, lecz strach zaraz przemogła.

— Mówiliście z królową? — zagadnął wprost Borkowicz.

— Kiedy? jak? mówić miałam? — kwaśno odpowiedziała stara.

— Jak? kiedy? Przecie królowa w swojej komnacie nocowała, a wy byliście przy niej? — rzekł Borkowicz.

Kłamstwem zbyć się go nie było sposobu.

— Nie mówiłam z nią, bo mi na pierwsze słowo usta zamknęła i słuchać nie chciała...—za-

mruczała Konradowa, w którą starosta wpatrywał się pilno, badając oczyma poszlaki kłamstwa. W istocie, była mówiąc tak zmięszana, że ją o nie posadzić mógł Borkowicz.

— Słuchać nie chciała! — powtórzył, — a! a! królowa słuchać już nie chciała!! Chybaście jej nie powiedzieli, że ja — widzieć się z nią muszę!!

Ochmistrzyni, nie odpowiadając mu, nadąsana, składała na stole rozrzucone niewieście przybory. Starosta czas krótki stał, czekając na to, co mu powie, aż zmęczony milczeniem pogardliwym wybuchnął.

— Myślicie mnie odprawić, jak natrętnego żebraka? co?.. Alem ja tu nie prosić przyszedł, a domagać się...

W Konradowej reszta strachu walczyła z gniewem, który rozpaczliwe położenie wzbudziło. Co miała począć:

Maciek każdy ruch jej śledził, patrzył i burczał coś cicho.

— Słyszeliście? — zawołał.

— A wy? słyszeliście? — odparła zwracając się ku niemu z twarzą zaognioną stara.

— Myślicie, że na tem koniec? — rozśmiał się Borkowicz.

— Sądzicie, że się was kto boi? — poczęła ochmistrzyni. — Królowa powiada, żeście jej ten wasz sławny pierścień gwałtem z palca zdarli.

— Gwałtem? a gdyby i tak było!? — krzyknął Borkowicz, — toć przecie nie wołała, gdym gwałt jej czynił, i była ze mną tam, gdzie jej nikt na pomoc przyjść nie mógł? He? Rozumiecie, co to znaczy?.. Samaby się potępiła, przyznając do tego. A pociście mnie puszczali tam tam, gdzie ja mogłem pierścienie z palca zdejmować?..

I śmiać się począł głosem dzikim. Stara ochmistrzyni zdretniała. To, co mówił, w istocie strachem nabawić mogło. Konradowa nierychło znalazła w głowie odpowiedź.

— Cóż myślicie? — zawołała — królowę oskarżyć, aby ją zniesławić? Jej się nie stanie nic, bo ją obraniać muszą, a wy głowę dacie...

Borkowicz groźnie zmarszczony, zawołał pięść podnosząc.

— Ja swej głowy wiem jak bronić, o to się wy nie frasujcie. Patrzcie no siebie.

Ochmistrzyni pozbyć się go chcąc, znowu składać zaczęła rąbki i zwijać wstęgi. Chwilę powstał starosta, oczekując.

— Jeszcze raz powiadam wam, — ozwał się wreszcie, — królowę namówcie, aby mi tu do siebie dozwoliła przyjść na rozmowę, inaczej, źle będzie... Na czyją to głowę spadnie—zobaczycie!!

Zatrzasnął drzwiami i wyszedł. Konradowa pozostała zdretniała, z rękami na stole, ruszyć się nie mogąc.

Do rozmyślania reszta dnia jej zostawała do wieczora. Tymczasem starosta do izb powrócił, w których po turnieju goście się zabawiać mieli.

Młoda królowa rozdawała tego dnia nagrody, lecz żadna z nich Borkowiczowi nie przypadła, bo go dwa razy z konia obalono. Tem zuchwałszym był i gniewniejszym jeszcze.

Szukał tylko środka, jakby się do królowej mógł zbliżyć.

Nielatwem to było. U stołu oboje państwo razem siedzieli. Dopiero gdy się tańce rozpoczęły, od których się młoda pani wymówiła znużeniem, starosta krążyć począł, wypatrując chwili sposobnej, aby za jej siedzeniem mógł stanąć. Król znajdował się daleko, zajęty rozmową. Przy Jaddwidze kręciły się tylko starsze panie, dworując jej. Zabawiały ją opowiadaniem różnemi, na które ona ledwie się uważać zdawała, siedząc ze spuszczo-nemi oczyma.

Starosta wkradł się zręcznie po za krzesło i w chwili, gdy muzyka głuszyła szczebiotanie pań starszych, które przerwać je musiały — do ucha prawie młodej pani szepnął.

— Pomnijcie pierścień, a tego, który go wziął od was, nie odprawiajcie tak sromotnie — bo się on odegnąć nie da!!

Ledwie słów tych dokończywszy, nie czekając odpowiedzi, Borkowicz posunął się dalej. Królowa drgnęła, podniosła głowę, oburzona

zuchwalstwem, lecz po za siedzeniem jej już nikogo nie było. Nikt też pono nie dostrzegł starosty, gdy się w tłumie przesuwiał.

Wprędce potem stanął już zdala naprzeciw królowej, zuchwale w nią oczy wlepił, i naumyślnie dumną swą postawą nastrecał się jej, aby okazać, jak mało się obawiał.

Jak dnia poprzedzającego, król dał znać żonie, iż u siebie pozostanie, tak tego dnia ona posłała jedną ze swych pań do Kochana, aby oznajmił panu, iż prosi go, by mogła spocząć w swej komnacie.

Dał zaraz po cichu odpowiedź Kochan, iż król się zgodził na to.

Zawczasu się każąc prowadzić, królowa Jadwiga przeszła do sypialni, i odprawivszy sługi, Konradowę zawołać kazała.

Ze związaną głową, stękając, przywlokła się stara.

Nie było już w komnacie nikogo. Na twarzy młodej pani gniew był łatwy do poznania.

— Mówiłaś ze starostą? — zapytała porywczo. — Chceci, abym się ja pierwsza poskarżyła nań królowi!!

Konradowa rękami naprzód machając w powietrzu odpowiadać zaczęła.

— Co z tym nieponiem mówić! — jęknęła — czy do ściany czy do tego czleka, wszystko je-

dno... On się nikogo nie boi, a wszystkim grozi, pies nie człek...

Z nateżoną uwagą słuchała Jadwiga — a gdy stara dokończyła, zakryła sobie oczy chustką — płakała.

— Gołąbko ty moja, królowko ty moja! — przymilając się zaczęła Konradowa po cichu. — Ja cały dzień myślałam tylko nad tem, aż mi głowa pęka od bólu. Z tym człowiekiem inaczej nie można, tylko trzeba go ugłaskać. Dziki zwierz jest, gotow na wszystko...

Po krótkiem milczeniu dodała ciszej jeszcze.

— Pozwólcie, żeby do mojej izby przyszedł na oka mgnienie, przetworzywszy tylko drzwi, pokażecie mu się... zgromicie... Pójdzie potem precz.

Spojrzała na królową i szepnęła.

— Albo mu dacie dobre słówko... Takich ludzi czasem można słówkiem ugłaskać. Ugłaskacie go... Obiecać można wszystko, albo to człek dotrzymać w sile, co przyrzecze?

Kiwnęła głową.

Królowa milczała i płakała. Nastąpiła cisza, przerywana łkaniem tylko.

Konradowa zwolna zdejmowała z królowej ubranie. Wiedziała już, nie odbierając odpowiedzi, że pani była na wpół złamaną i przekonaną.

Szeptala ciągle jedno, kręcąc się koło niej i słuchając, co z ust jej wyjdzie.

— Rób co chcesz — zamruczała płacząc — ja o niczem wiedzieć nie mogę... Rób co chcesz... — Nie mogę.

Starej tego tylko było potrzeba. Żywiej teraz układała do snu wychowanicę i spieszno się jej było oddalić. Miała czem, jak się jej zdawało, pozbyć się Borkowicza.

Była pewną, że dla królowej powolnym być musi.

Wieczór spóźniony już dnia tego nie dozwalał się spodziewać starosty, lecz nazajutrz przeczuwała go Konradowa.

W istocie Borkowicz krążył ciągle po podwórcach, podglądając, kiedy się wsunąć może. Czasu uczt, gdy u stołów byli wszyscy, wszedł do komnaty. Konradowa siedziała za stołem spokojna.

— A co? — odezwała się pierwsza do niego — znowu wy na mnie przychodziecie z gniewami, ze strachem i prośbami?

Nie bądźcie no takim srogim, a może lepiej na tem wyjdziecie!

Borkowicz do stołu się przysunął.

— Chcesz podarku? — dam! — rzekł bystro patrząc.

Na ofiarę Konradowa nie odparła nic — co znaczyło, że ją przyjąć była gotową — rzekła tylko.

— Możebym wyprosiła co u królowej... ale ani ona, ani ja dla strachu nie zrobi nic.

Potrząsała głową.

Borkowicz mrucząc, do sakwy pod suknią sięgnął i garść добыtych pieniędzy milcząc starej podsunął, która je żywo chustą nakryła.

Siadł przy niej na ławie — cicha rozpoczęła się umowa, jak za dobrych czasów. Borkowiczowi ta zmiana nagle dawała do myślenia, że go oszukują może, zyskać chcąc na czasie i knując zdradę jakąś — lecz, Konradowa zdawała się z dobrą wiarą i wielką troskliwością obmyślać spotkania z królową.

Postanowione tedy zostało, iż Borkowicz, nie budząc podejrzeń i nie kręcąc się nadaremnie, miał tylko wyglądać dnia, gdy mu w oknie Konradowa czerwoną chustę na znak wywiesi. Tego wieczora miał przyjść do niej. Obiecywała mu, że królową zobaczy. Dzień ten nie miał być dalekim, i nimby się wesele dokończyło Maciek obietnicę spotkania się otrzymał — bo później, trudniej było oczów ludzi uniknąć.

Z tem on odszedł.

Następnych dni próżno do okien zaglądał, czerwonej chusty w nich nie było, aż czwartego, gdy już gniewny chciał iść do starej, ową zasłonkę zobaczył.

Na wieczór król z łowów z gośćmi swymi, książętą, nie miał powrócić. — Borkowicz od myśliwstwa tego wymówił się koniem chorym, został w mieście i na zamku. Zaledwie zmierzchno, gdy już czatował w podwórzu.

Pachole, które miał z sobą, postawione na straży w sali, dało mu znać, gdy królowa z nich wyszła do swych komnat. Mało co poczekawszy, Borkowicz wbiegł do Konradowej.

Czekać się na niego zdawała, i położyła palec na ustach zobaczywszy.

— Cicho tu stój! — rzekła, wstając i podchodząc ku drzwiom królowej.

Przyłożyła do nich ucha, zapukała ostrożnie. Borkowicz tymczasem, cicho stąpając za nią, przysunął się ku drzwiom.

Otworzyły się one powoli. Błada i pomieszana stała w nich królowa Jadwiga — nie mogąc wymówić słowa, Borkowicz śmiał się do niej.

Pomiędzy niemi skurczona w pośrodku trzymała się Konradowa. Starosta ujął ją w pól i odepchnął, a sam, nie zważając na przestrach królowej, zuchwale się wparł na próg ku niej, i za cofającą się wkroczył do sypialni, drzwi zamykając za sobą.

Konradowa padła z razu na ziemię, lecz natychmiast się podniosła, oburącz porwała drzwi i gwałtem je rozwarła.

Królowa w głębi izby uchodząc od napastnika, stała oparta o ścianę. Borkowicz w pól komnaty się strzymał i mówił coś żywo.

Rozmowa ta, której Konradowa dosłyszeć nie mogła, trwała bardzo krótko — na dany jakiś

znak, starosta krokiem wolnym, parę razy jeszcze się zwracając i mruczając coś — wyszedł.

W pierwszej izbie nie zatrzymał się nawet, kołpak na głowę naciągnął i — wysliznął się po cichu.

Z czem i jak odchodził, z gniewem czy ułagodzony, nie mogła ani zgadnąć, ani dopytać stara, gdyż królowa rzuciła się z twarzą zakrytą na łożo swe i mówić nie chciała.

Zdawało się przecież ochmistrzyni, że wszystko być musiało skończone — oddychała swobodniej.

Borkowicz ani następnego dnia, ani później się już tu nie pokazał, chociaż stara wiedziała, że jeszcze był na zamku.

Nowy gość za to nazajutrz po bytności starosty przyszedł wieczorem. Był to Kochan, podkomorzy, który nie dnia tego do rozkazania, ani oznajmienia nie miał, lecz, jakby dla bliższego poznajomienia się przybywał.

Stara musiała go przyjąć z poszanowaniem, lecz drżąc ze strachu, gdyż czuła iż podglądać musiał, rozpytywać chciał. A kto był, i jak swemu panu służył — wiedziała.

Stawił się on bardzo przyjacielsko, przynosząc rady różne, nauczając starą obyczajów królewskich, rozpytując o młodą królowę, ostrzegając co czynić i jak postępować miała.

Niedowierzająca mu Konradowa, znajdowała się bardzo ostrożnie, milcząco.

Kochan miał tu rachubę, której ona odgadnąć nie mogła.

Chciał króla od Estery dumnej a nieprzystępnej oderwać — do młodej królowej przybliżyć.

Służąc jej, spodziewał się może pewien wpływ pozyskać, a przynajmniej lepiej być widzianym, niż u żydówki, która go milczeniem zbywała — zbliżyć się do siebie nie dając poufale.

W rozmowie z Konradową Kochan wspomniał i Borkowicza, opowiadając o nim, iż próżno się o łaskę starał u króla... Spytał, czy prawdą było co mówiono, że na dworze złazkim księżniczką znał Jadwigę i miał u niej łaskę.

Słyszając to pytanie, stara ze strachu pobladła i nie prędko wyjąknęła odpowiedź.

Z gorącością wielką zaczęła się zaklinać, iż wszystko, co mówiono, kłamstwem było tylko i potwarzą — że Borkowicz, jak inni, na turnieje i zabawy do Głogowa i Żegania jeździł — ale przystępu do księżniczki nie mógł mieć nigdy.

Śmiał się z tych baśni Kochan z nią razem, i tak, rozstali się ze starą w dobrej zgodzie, obiecując sobie trwać w niej i nadal.

Wielkopolska naówczas, w skutek zabiegów Maćka Borkowicza, na dwa się obozy dzieliła, z tych jeden trzymał z panem na Koźminie, drugi

się skupiał przy wuju jego starym, wojewodzie Beńku. Łączyło ich pokrewieństwo, lecz z dawna dzieliły różnice usposobień i charakterów.

Maciek był zarazem zuchwały i przebiegły, chciwy władzy i majątności, a na środki, jakimi szedł do celu, nie zważał i nie patrzył. Zbroiwszy co, popełniwszy gwałt jawny, aby się nie narażać duchowieństwu, opłacał się fundacjami i pieniędzmi; w sumieniu nie miał zgryzot żadnych. Namiętność panowała nad nim.

Raz sobie nabiwszy tem głowę, że w Wielkopolsce rządzić będzie, i oderwie ją od Korony, a podda brandeburgom lub cesarstwu, sam hołdownikiem jego zostając, dążył ku temu nieustannie, przysposabiał się do buntu, rachował może na bezdzietność Kaźmirza, na chwilę bezkrólewia, nimby Ludwik przyszedł do korony.

Rachuby jego były niezbyt opatrne, nadto miałe, wiele przeciwnych okoliczności lekcewazył sobie i pomijał, lecz miał taką ufność w siebie, że na chwilę nie zwątpił, że celu dopnie.

Gra ta, która zdaleka tłómaczyć się dawała, nie była ani tak widoczną, ani tak zrozumiałą, by go oskarżyć można i dowieść zdrady; chociaż z bliska w samej Wielkopolsce dla bystrych oczów stawiała się dotykálną.

Szlachty znaczna część skupiała się przy Maćku, wiązała z nim, słuchała go i ślepo mu wierzyła. Ujmował ją różnemi sposoby — a że nie

przed wszystkiemi tał, iż mu o utrzymanie odrębności ziem wielkopolskich chodziło — tu i owdzie wygadywano się z tem, co było zamierzone.

Beńko, mąż jnż w latach, lecz jeszcze silen umysłem i ciałem, wierny królowi, zamilowany w pokój, nieprzyjaciel wszystkiego, co go zakłócić mogło, wręcz był przeciwny całemu temu ruchowi. Widział on jasno, co się przysposabiało. Maciek w samych początkach niezupełnie się zdradzając przed nim, starał się ująć go sobie przez ciotkę swą a żonę Beńka, niewiastę rozmilowaną w siostrzeńcu i popierającą jego sprawę. Beńko, który się nie dawał złudzić, mimo przywiązania i powolności dla żony, słuchać jej nie chciał i wręcz odpowiedział, że zdrady nie dopuści i wszelkimi siłami sprzeciwiać się jej będzie.

Maciek, który dawniej częstym bywał gościem u wuja, po kilkakrotnem żywym z nim starciu, przestał jeździć do niego i zerwał wszelkie stosunki.

Beńko w głos i jawnie mówił, iż Maćkowi nie dozwoli knuć na szkodę Wielkopolski spisków z brandenburgami i rozpasywać się w kraju. Donoszono o tem Borkowiczowi, który szydersko słuchał głową kręcił, brodę tarł i cmokał.

St sunki coraz się pogorszały.

Nieprzyjaciele Maćka otaczali wojewodę, ci którym Beńko nie był miłym, szli z Borkowiczem.

Doniesienia do Krakowa o zamiarach jego

pływały od wojewody, wiedział on o tem. Po cichu odgrażać się na siebie wzajem poczęto. Porwać się jednak na Beńka nie było tak łatwo.

Pokrewieństwo hamowała potroszę, a więcej obawa siły, jaką miał wojewoda. Co było ludzi poważnych, statecznych, niewiedzionych obietnicami Borkowicza, stało u jego boku.

Beńko, pan ziem rozległych, które trzymał między Poznaniem a Gnieznem, miał też dobra w Kaliskiem; mieszkał jednak zwykle w dworcu swoim w Poznaniu. Tu, w mieście, wpływ jego przeważał, gdy na prowincji Borkowicz liczbą swych sprzymierzeńców był groźniejszy. Beńki przyjaciele należeli do najznacześniejszych właścicieli ziemi; Maćka do najuboższych ziemian, ale do najruchawszych, najzuchwalszych i rozrodzonych a skołgaconych szeroko. Wojewoda rachował na siłę swoich, Maciek na zuchwalstwo drobnych panoszków i rycerstwa ubogiego.

Do tego podziału na obozy przyczyniały się i dawne zajścia pomiędzy rodzinami, które z sobą walczyły o wpływ w różnych częściach Wielkopolski. — Jedni więc garnęli się do Borkowicza, a to starczyło, by drudzy przechodzili do wojewody.

Widzieliśmy sposób życia Borkowicza, który obozował ciągle, z miejsca się na miejsce przenosił, siadywał to w jednym to w drugim z licznych swoich dworów. Pomagało mu to do zy-

skiwania nowych stronników, a gdzie ich miał zyskać jeszcze, tam ciągnął, rozsiadał się, otwierał wrota, zapraszał i jednał czem i jak się udało.

Cale inaczej nawykł był życie wieść wojewoda Beńko. Nie ruszał się on chętnie z miejsca, nietyle może dla wieku, co z nawyknienia.

Dwór wojewodziński w Poznaniu, nader gościnny, roił się prawie ciągle przybyłemi — obyczaj tu był staropolski, nie wykwintne przyjęcie lecz obfite i pańskie. Stoły u niego zastawne były po dniach całych, wielu ziemian z końmi i dworami zajeżdżali do niego, stawali i tygodniami siadywali. Dworzec stary, obszerny Beńka, był niepozorny, lecz wygodny i we wszystko zaspobiony.

Spichrze przy nim, do których zapasy ze wsi zwożono, stały pełne zboża, siana i mąki, zwierzyny i wszystkiego, czego życie potrzebowało. — Osobny browar piwo warzył na potrzebę wojewody, wielkie łaźnie dla panów i czeladzi, stajnie na paręset koni, mieściły się w podwórcach, do głównego przylegających. Dwór Beńka był liczny i niemal po książęcemu urządzony — miał komorników, podkomorzych, podczaszego, łowczego a gawieź, której sam nie znał, była mnogą, i często się jeszcze pomnażającą. — Ksiądz kapelan, który zarazem pełnił obowiązki lektora i kanclerza, towarzyszył zawsze i wszędzie wojewodzie.

Beńko bezdzietnym był, bo syna już dorosłego stracił przed kilku latami na łowach, niewiadomo jak i przez kogo postrzelonego. Poszlaki pewne były, że Maciek Borkowicz śmierci tej nie był obcym, i że z jego namowy zbrodnia ta popełnioną została. Nie miano dosyć dowodów, aby go obwinić, było ich jednak tyle, że go podejrzewać o to miał prawo. Rachować się zdawał Maciek na to, iż ciotka, a żona wojewody, niewiasta zaślepiona i krótkowidząca, nakłoni go do przekazania mu spadku po sobie. W tem się omylił Borkowicz, gdyż wojewoda, powziąwszy podejrzenia i zniechędziwszy siostrzaną, ani chciał o tem słuchać. Miał sobie przysposobić dalekiego krewniaka — na co od króla zyskał pozwolenie.

Borkowicza przeciwko wujowi rozdrażniło to więcej jeszcze.

Beńko liczył lat już pod siedmdziesiąt, starym się mógł zwać liczbą ich, ale postawą tego nie zdradzał. Słusznego wzrostu, dobrze zbudowany, zahartowany zawczasu, ciągle czynny, choć nieco ostatnimi czasy zleniwiał. gdy potrzeba było i konia dosiadał i w gołym polu nocować był gotów, i żadnego się nie uląkł trudu. Ocieżał tylko trochę dla tego, iż do czynienia nie miał wiele.

Za to około niego ruch zawsze był znaczny. Rozporządzenie ówczesnego żywota, obyczaj

wieku, inne były niż dzisiejsze Wstawali wszyscy rano, ze dniem lub przed świtem nawet.

Wojewoda, że pobożnym był i dwór mieć chciał sobie podobnym, rozpoczynał dzień od mszy świętej, albo w pobliskim kościele, lub w kapliczce przy dworze wystawionej, która, choć małą była, wychodziła drzwiami na podsiennia, a w tych służba się cała czasu nabożeństwa ustawić mogła.

Po mszy zaraz obiad następował w wielkiej izbie, do którego wojewoda i żona jego zasiadali, goście i służba co przedniejsza.

Poczynano już naówczas kuchnię prostą dawniejszą drogiemi korzennemi przyprawami o smaczać; wojewoda mało o to dbał, lecz za to nikomu nigdy u niego nie zabrakło obfitej i pożywnej strawy, kaszy, mleczywa, ryb i mięsa. Misy na niewielu wydzielane były, aby do syta najeść się mógł każdy i czeladź jeszcze pożywiła. Piwa dawano ile kto chciał, wino tylko w świątki, i to przedniejszym. Zastępowały je miody stare i młodsze...

Przy obiedzie wojewoda gwarzyć lubił, więc mu kto mógł przynosił nowiny, aby przedmiotu do rozprawiania i podbudzenia wesołej myśli nie zabrakło.

Zasiadała do stołu sama pani też, a często i niewiast kilka. Kapłan rozpoczynał błogosławieństwem, kończył dziękczynną modlitwą.

Pomimo powagi swej i dostojenstwa, wojewoda poufałym z ludźmi być lubił, w rozmowie swobodę im dawał i do niej zachęcał, pośmiać się nie wzdragał. Wiek w nim, jak u wielu innych ludzi, tem się znamionował, iż go wielomówniejszym uczynił. Rad słuchał, rad rozprawał, a często i do zbytku rzeczy na wszystkie strony obracał, nie będąc skorym do czynu.

Puszczał się w długie wywody, a że go słuchano chętnie, mówić lubił. Miano go też za wymownego, ludzie mu się dziwili i on sam znał to do siebie.

Obiad zwykle rozmową się przeciągał, a wojewoda, choć nie pijał wiele, że jadł dosyć i pragnienie miewał, cienkiego piwa po jedzeniu zażywał dużo. Nie zamacało mu to głowy, a czasu zabierało wiele. Po dziękczynnej modlitwie kto chciał, wstawał i szedł, inni otaczając wojewodę, z nim dosiadywali i godzin kilka n stołu trawili.

Była to godzina też, w której po obiedzie stary Beńko psy pozostałemi kośćmi i ułamkami chleba zwykł był karmić. Wpuszczano je do izby, obsiadały stół i ławy, a Beńko głaszał je, gadał do nich i różne historie myśliwskie opowiadać lubił.

Trafiło się, że ktoś ze wsi nadjechał, lub nadszedł z miasta, siadał więc też za stół, częstowano go miodem i nierychło się wojewoda z siedzenia ruszył.

Były li jakie sprawy do załatwienia w cztery oczy — naówczas szedł do swej komory — nie, zostawał w wielkiej izbie, lub przechadzał się, do stajen zaglądając, konie kazać sobie wyprowadzać, przypatrując się młodzieży dworskiej, która do celów z łuku, z kuszy strzelała, i oszczepami ciskała.

Często do wieczora i wieczerzy tak przetrwał w podwórcach, gdy z duchownych kto nie nadszedł, lub ze znaczniejszych ziemian nie przyjechał.

Niekiedy wyjeżdżał na łowy, do biskupa, w odwiedzinę w sąsiedztwo. Lubił naówczas Beńko, choć bez wielkiego przepychu, występować gromadnie i nie obeszło się naówczas bez oszaku, dworu, bez towarzyszków.

Wieczorem jadano po raz wtóry, tak samo, jak rano, i zasiadywano u stołów często do późna.

W święta i niedziele liczba przybywających zwiększała się jeszcze, a że gwar około siebie wojewoda lubił, rad im był bardzo.

Z różnych stron nie tylko Wielkopolski, ale z Kaliskiego, ze Szlązka, z Mazowsza napływał, tu ziemianie ze sprawami i bez spraw. Do Beńka, dla jego dobroci, sprawiedliwości i miłościwego obchodzenia się z ludźmi, przywiązać się łatwo było. Jedną sobie, a kto raz doń przystał, ten trwał pewnie do końca.

We dworze więc jego skupiały się z różnych stron raz wraz przynoszone wieści. Wiedział

Beńko, co się gdzie działo, i choć do wypatrywania cudzych czynności osobnych ludzi nie trzymał, przyjaciele mu nowin wszelkich dostarczali. Od czasu, gdy z Borkowiczem zerwał, szczególnie o nim i jego krokach wojewodzie donoszono pilno, wiedząc że się na siostrzeńca odgrażał.

Nie ruszył się krokiem Maciek, by Beńko nie został uwiadomiony. Co czynił, co mówił, z czem się wygadał nieostrożnie, natychmiast się odbiło we dworze wojewody.

Sama jejmość, która zawsze jeszcze słabość pewną zachowała dla siostrzana, często się go bronić starała — choć nieśmiało, ale to wcale nie pomagało. Wojewoda miał już to przekonanie, na pewnych oparte dowodach, iż Maciek zamierzał zdradę. — Cekał tylko nierozważnego kroku, aby przeciw niemu wystąpić.

— Patrzeć nie będę — mówił — aż mi rozkaz dadzą z Krakowa. Byle poszlak pewny, pochwyć go każę i zamknę... Niech się sprawa wytoczy.

Miał swoich zauszników Borkowicz, a ci mu też zaraz donosili — co wojewoda mówił i co zamierzał.

Maciek zły był, ale śmiał się pogardliwie.

— Nim stary zbierze się na mnie, ja sobie z nim dam rady. Trzy dni potrzebuje gadać, nim na kord chwyci, a ja milczkiem go wezmę..

Na wesele królewskie Beńko, choć i chciał,

i powinien był jechać do Krakowa — nie mógł. Prawa noga, którą miał niegdyś zranioną, jętrzyć się na nowo zaczęła, blizny pootwierały i leczyć się musiał. Okładano mu je i goić się zaczynały znowu. lecz na koń siąść było trudno, a na wozie jeździć nie lubił wojewoda, powiadając, że tylko babom z dziećmi to przystało, i siano niemi wozić godziło się.

Został więc w Poznaniu, a gdy powracać zaczęli ci, co na gody jeździli, przynoszono mu co dzień prawie opowiadania szczegółowe o tem, co się i jak działo.

Szczególniej ciekawym był Beńko, co tam porabiać będzie Maciek, który na przekorę mu jechał, i umyślnie starał się wszystkich oczy obrócić na siebie.

Zuchwalstwo to, gdy zdrada, jaką knuł, dla Beńka oczewistą się zdawała, oburzało go i podniecało. Sam brzydząc się fałszem, zniesć tego nie mógł, iż siostrzan króla oszukiwać się starał.

Wiedział o jego dawnych z księżniczką Jądwigą a terazniejszą królową, stosunkach — więc i to budziło w nim niepokój, a podniecało ciekawość.

Jednym z pierwszych, którzy powrócili z długiego wesela był Wierzbęta, a z tym wojewoda dawną trzymał przyjaźń i był go pewnym. Wnet też posłał do niego z prośbą, aby kalekę — jak się wyrażał, nawiedził.

Przybył Wierzbięta, który, że na dworze pańskim stosunki miał, oko bystre, słuch czujny, wiele się od niego spodziewał dowiedzieć wojewoda. Zamknęli się we dwu w komorze, bo pan domu jeszcze nogę musiał trzymać wyciągniętą na ławie.

Wierzbięta który do czasu starał się bronić Maćka i nie dowierzał, by miał być tak niebezpiecznym, wracał z Krakowa zakłopotany i niepokojny.

Nie tał się z tem przed Beńkiem, iż i on teraz w podejrzeniu miał go, z powodu obejścia się na weselu, różnych nieostrożnych jego wygadywań i zabiegów, jakie czynić miał dla odnowienia blizkich z królową stosunków.

Zkąd o tem Wierzbięta był uwiadomiony, nie mówił, ale zaręczał, iż Borkowicz, czasu wesela nie stracił dnia jednego, i bardzo podejrzane przedsiębrał kroki.

Wojewoda uwierzył święcie doniesieniu.

— Łotr ten na wszystko gotów! — zawołał — pilne oko nań mieć potrzeba... Wsłiznie się gdy będzie mógł, jak żmija i do komnat królewskich, i do łóżnicy, byle na tem co zyskał.

Zafrasował się Beńko tem więcej wieścią tą, iż Wierzbięta mu wyznał, że ona tajemnicą była dla wszystkich, a on sam tylko wypadkiem osobliwym wpadł na tropy.

Natychmiast z rozmowy tej wojewoda wycią-

gnął wniosek, do którego dawno szukał tylko powodu — że Maćka należało wziąć i sprawę mu o zdradę wytoczyć. Stosunków jego z Brandeburgami dowody były niezbite. Zbliżania się do młodej królowej, zdaniem jego, nie należało dopuścić i co rychlej mu zapobiedz.

Wierzbiewa nie radził pośpiechu, ale był za pilnym nadzorem. Poczuli tedy rozprawiać o tem.

Beńko, mówiąc o siostrzeńcu, rozgorączkowanywał się straszliwie i stał przy swoim.

— Gotówem na moją szyję wziąć tę sprawę, zawołał. — Przekonanie mam, dowody dla mnie starczą, że ten warchoł licha nam nawarzy; po co czekać? Zobaczycie, że gdy go wezmę i zamknę, ludzie, co się go dziś boją i milczą, ockną się i dopiero opowiedzą co knuł, aby się ocalili sami.

Mówiąc to, wojewoda w piersi się bił i miotał, aż chorą nogę uraził i z bólu syknął.

Wierzbiewa widząc, że go nie potrafi ułagodzić a nawet zwlec postanowienia, nie sprzeciwiał się już, wolę mu zostawując, dodał tylko.

— Chociażbyście niezmiennie postanowili z Borkowiczem w ten sposób skończyć, nie przyjdzie to łatwo... Człek przebiegły, ostrożny, otoczony zawsze zuchwałymi jak sam, wziąć się tak gołą ręką nie da — potrzeba więc dobrze pomyśleć, aby zamiast ująć i zabezpieczyć się, nie pchnąć go do jakiego szaleństwa, gdy się dowie że, na niego już czyhają.

Wojewoda wszystkich tych przestróg słuchać niechciał; trwał przy swoim.

— Jeżeli dłużej swobodnie chodzić będzie, a ubezpieczy się, kto wie, co uczynić gotów! — wołał zasapany i gniewny. Wszystkoby było niczem, ale powiadacie, że na królowę godzi; gotów naszemu panu srom jaki uczynić. Śmiałek jest, kłamca jest i nie poszanuje niczego.

Zresztą, miły mój -- dodał Beńko, biorąc go, widzi mi się łaskę mu czynię; łeb może ocale, inaczej popełni w zaciętości takiego coś, za co go na gardle karać przyjdzie..

— Wojewodo kochany — odparł Wierzbięta — czyż jako chcesz, masz doświadczenie, masz moc — ale na miłego Boga, ostrożnie potrzeba, bo ten człek i szpiegów swych wszędzie ma... i, uchwaj Boże, wiatr go o tem zawczasu dołeci — to się bez krwi rozlewu nie obejdzie.

I to nie potrafiło ostudzić Beńka, który łamiąc ręce powtarzał.

— O królowę i króla idzie, dać mu czas — nie uśmierzy się, nie upamięta, ale gotów... niepokoju w całym kraju przyczynić, aby w mętnej wodzie ryby łapał..

Rozprawiali jeszcze dosyć długo, lecz Beńko nie ustąpił.. Wierzbięta odszedł, umiarkowanie doradzając i ostrożność.

Pozostawszy sam, stary wojewoda nie uspo-

koił się rychło, pilno mu było, co raz postanowił, dokonać.

Jak wszyscy podżyli ludzie, którzy już sami przez się niewiele mogą, a umysłem są czynni, Beńko miał od lat kilkun prawą rękę w rusinie, którego niegdy w Krakowie spotkawszy, do usług swych przyjął, i wypróbowałwszy, coraz go więcej miłował, coraz mu ufał i zawierzał śmieiej.

Imię mu było Panas, z czego po polsku Panoszę zrobiono i zwano go tem imieniem. Bojarzyn to miał być znaczny z tego kraju, który król Kaźmirz zawojował i do korony przyłączył; krwawa jakaś przygoda zmusiła go schronić się do Polski, a tu wojewoda z królewskiego dworu go sobie namówił.

Człek był bardzo postawny, rozrosły, siłacz, jak mało, ponurego wejrzenia i twarzy — zimny na pozór i milezący, już dla tego, że nie czysto mówił po polsku, już, że w ogóle wolał coś czynić niż słowami rzucać próżnemi. Nabożny był wielce, pół roku prawie pościł albo na oleju, lub z suchotami; wesółych towarzystw unikał, zamknięty w izbie swej siedział, lecz do dozoru i do spełnienia rozkazów nie było nad niego.

Nigdy nie odpowiedział na dane polecenie uwagą żadną, nie składał się ani trudnością, ni niepodobieństwem, starał się dobrze wyrozumieć, czego od niego chciano — a potem, choćby swoje

i ludzi z nim będących życie przyszło ważyć, nie patrzył.

— Takie przykazanie — mówił krótko.

Wojewoda mu znaczne Soltystwo wyrobił, obdarzał go i obchodził się z nim dobrze — a Panosza kochał go i w ogień a w wodę był gotów na skinienie. To też zazdrościli wszyscy ulubieńcowi, a nikt z nim o lepsze iść nie mógł. Człek był żelazny, na głód i chłód niepamiętny, śmiały do zapamiętałości — a na oko niby bryła jakaś bezwładna, niepozorny i nie obrotny.

Śmieli się z niego popsuci dworacy, ale zdala i po cichu, bo Panoszy zaczepić się nikt nie ważył i dla wojewody, i dla niego samego.

Nie skarżył się on nigdy, sam sobie sprawiedliwość wymierzał — ale okrutną, kilku już klectwa nabawił.

Z Panoszą rozmowa wojewody dziwną bywała. Stawał on zawolany u drzwi, czasem ręce na piersi skrzyżowawszy, pokłonił się i czekał. Wojewoda mówił, on głową tylko dawał znaki, że słuchał. Gdy niedobrze wyrozumiał, prosił — ojca (bo tak zwykł był zwać wojewodę,) aby mu rzecz raz jeszcze zwolna powtórzył.

Gdy powiedział: pojmuję, a potrząsł łbem, już Beńko mógł być spokojnym, że co polecił, spełni.

Kilka razy używany bywał Panosza do rozwadywania się o Maćka Borkowicza obrotach—

był więc wtajemniczony we wszystko i miał go już z własnej woli na oku. Oko zaś to, jak się zdawało niewiele szukać i widzieć, tak bystre było i przenikające...

W sobie cały zamknięty, człowiek ten, który z nikim się nigdy nie rozgadywał — co mu do duszy wpadło, umiał rozsnuć na najcieńsze pasemka. — Łatwo mu się było wcisnąć wszędzie, bo niepozorną miał prostego chłopą powierzchowność i odziewał się z prosta — nikt go o przebiegłość nie posądził, a twarzą się nigdy nie zdradził.

Wojewoda go używał wszędzie, gdzie tylko zaufanego potrzeba było człowieka. — Dawał mu pulki wodzić, bo w rycerskiej sprawie był biegły, niekiedy mu zwierzchność zlecał nad dworem, to go posyłał gdzie było trzeba, nawet i do majątności swoich, gdy ład było potrzeba zaprowadzić.

Wiedziano we dworze, że gdy Panoszę wojewoda do siebie wołał, a z nim się zamknął, pewno się już coś ważnego przygotowywało.

Zaledwie Wierzbęta odjechał, gdy niecierpliwy starzec posłał po ulubieńca.

Był on pod ten czas nadzorcą nad dworem i wiele do czynienia nie miał, bo samym postrachem ład utrzymywał.

Stawił się natychmiast w swej długiej sukni i kołpakn, które nawykł był nosić, gdy mu na konia siadać nie było potrzeba. Odziany w tę zwierzchnią oponczę, pod którą miał krótszy pod-

pasany kaftan, w wysokiej czapce, istnym się wydawał olbrzymem.

Swoim zwyczajem w progu stanął, zgął się, rękę aż do ziemi wyciągnął z pozdrowieniem — i czekał pańskiego słowa.

Kazał mu się przybliżyć wojewoda.

— Sprawę mam ważną, którą ci chcę polecić, rzekł. Pośpiechu nie wymagam, rozważyć musisz wprzód dobrze, jak począć, aby chyby nie było... Daję ci czas, rozpatrzysz się; a no, i bardzo z tem przeciągać nie można.

Panosza głową dał znak, że rozumie.

— Z Borkowiczem nam raz skończyć potrzeba — mówił Beńko, głos zniżając. — Żywa dusza o tem wiedzieć nie powinna.

Powtórnie głowa Panoszy się schyliła.

— Msimy go ująć — dokończył, patrząc mu w oczy Beńko. —

Panosza stał nieruchomy.

— Nabroił on już dosyć — ciągnął po chwili. — To, co wiemy, starczy, aby go karać, a o czem nie wiemy, tego więcej jest jeszcze...

Postanowiłem go do więzienia dać... a reszta to już moja sprawa.

Panosza słuchał z uwagą wielką zadumany. Trochę zaniepokojony tem wojewoda, nie widząc żadnego znaku — poczekawszy chwilę, mówił dalej.

— Ja to wiem, że sprawa z nim niełatwa.

Ulubieniec potwierdził głową.

— Ale od czegoż rozum? — rzekł, uśmiechając się. Człek możny, koło niego tałałajstwa różnego dosyć, zbóje wszyscy, jego nie wyjmując, ale dla Panoszy wszystko to lekkie, byle chciał, będzie wiedział jak go osaczyć i napędzić do jamy.

Panosza na to nie dał żadnego znaku, zmarszczył się trochę wojewoda.

— Gadaj bo — odezwał się — coż ty myślisz?..

Ruszył ramionami spytany — i nie rychło bąknął.

— Co trzeba... to trzeba, a sprawa..

Nie dokończywszy, głową począł rzucać i oczy w podłogę wlepił.

Nastąpiła chwila milczenia.

Panosza zdawał się szukać w sobie tego co mu czynić wypadało.

— Ojcie — rzekł po namyśle krótko, dajcie mi się rozwiedzieć. Hm?

— Idź, jedź, bierz kogo chcesz... odparł wojewoda, a powracaj mi prędko z językiem...

Posłyszawszy to sługa, pokłonił się, mruknął — pojmuje — i odszedł.

Wojewoda, zwierzywszy mu sprawę, trochę się uspokoił. Wieczorem, choć noga dolegała, dawszy ją sobie obwiązać, o kiju wyszedł do jałdalni, bo mu się w komnacie ciasnej i bez ludzi nudziło.

Strzegł się wydać słówkiem z tem co go zajmowało, ale dwór już wiedział, że Panoszę u siebie miał i różnie odgadywano.

Beńko wesołość udawał, choć jej nie miał. Usta się śmiały, czoło było zasepione.

Po wieczerzy żona mu rękę podała, odprowadzając do sypialni. Tu znowu nogę opatrywano, baba przysła z ziołami, kurzono ją i wojewoda położywszy się, żonie przy łóżku miejsce wskazał, aby posiedziała przy nim, póki by go sen nie wziął.

Przed nią, chociaż dobrze wiedział, że Borkowicza lubiła i broniła, jak w innych sprawach — tak i z tą taić się nie myślał.

Rozpoczął jej po cichu opowiadać, co od Wierzbity słyszał — i co w skutek tego postanowił.

Drgnęła pani wojewodzina (imię jej było Marussa, z Maryi za młodu przerobione) — i nie dając po sobie znać, jak ją to obeszło, ciekawie słuchała. Beńko, który milczeć postanowił i powinien był, rozgadał się i zwierzył jejmości wszystko.

Nie śmiała mu się sprzeciwiać, chociaż złożone jej ręce zacisnęły się z bólu i strachu.

Siostrzan nie przestał jej być miłym, swoich dzieci nie miała, kochała go jak własnego syna. Wszystko, co dokazywał i broił, tłómaczyła sobie to potwarzą, to ludzką słabością, to krwią gorącą.

Przekonana, że męża, którego zmiękczyć nie-raz już usiłowała, nie rozbroi — nie otwierała ust, lecz dwie łzy milczące z pod powiek się jej stoczyły...

W stosunku z księżniczką Jadwigą widziała staruszką miłość, i serce jej miało tём większe politowanie nad siostrzanem...

Gdy wojewoda, ugadawszy się i mocno ożywiwszy dokończył, wojewodzina, szepnęła słów kilka nieśmiałyeh, prosząc o miłosierdzie dla Maćka, i aby ukryć poruszenie, zabrała się do wyjścia. Wojewoda odchodzącej rzucił jeszcze toż samo, co mówił Wierzbięcie.

— Dziękować mi bestja ta powinna, gdy go ująć każe, bo mu łeb ocalę — i nie dam popełnić, za coby gardłem musiał zapłacić.

Rozstali się tak, a wojewodzina do swojej komnaty odszedłszy, rzewnie płakać poczęła, długo się nie mogąc ukoić. Walczyła z sobą, niewiedząc co czynić ma, lecz serce dyktowało, iż Maćka bronić powinna dla pamięci siostry. A miała to przekonanie, iż winy tak wielkiej na nim nie było, że go nieprzyjaciele ogadywali.

Uklękła się modlić wojewodzina, a na modlitwie zdało się jej, że powinna była nieszczęśliwego, choćby obłąkanego, ratować.

Jak? nie wiedziała...

Noc upłynęła we łzach i niepewności. Naza-jutrz po mszy ulubiony jej, doradzca wierny, ka-

pelan, którego Michnem zwano, powołany został do rady. Księżyna był pobożny, pokorny i nie daleko widzący, wojewodzina, nie przyznając mu się, o kogo jej szło, nie zwierając weale, poddała mu tylko pytanie — coby w takim wypadku czynić wypadło...

Wypadek zaś opisała tak ogólnemi wyrazami, iż Michno tyle tylko mógł odgadnąć, że człowiekowi dać trzeba było czas do skruchy, opamiętania się i pokuty. Jako duchowny, nie mógł innej rady dać, tylko wedle prawa ewangelicznego.

Głosował żarliwie za ocaleniem człowieka.

Serce wojewodziny dawno toż samo mówiło, obawiała się tylko męża zdradzić. Lecz możnaż było nazywać to zdradą?

Postanowiwszy ratować Maćka, po odejściu kapelana wojewodzina zaczęła nad środkami przemyślać, jakby ostrzedz siostrzana, a nie ściągnąć na siebie gniewu męża.

Stosunki z Borkowiczem były zerwane, zakaz najsnrowszy wzbraniał jej i wszystkim do dworu należącym, zbliżać się do niego... Nie mogła więc Marussa tak łatwo wymyśleć sposobu oznajmienia Borkowiczowi, aby głowy swej i osoby strzegł pilno... Zwierzyć się nie chciała nikomu. Sama go szukać nie mogła, a i znaleźć nie było łatwo, bo Maciek nigdy długo na jednym miejscu nie stał.

Dzień upłynął na rozmyślaniach.

Listów posyłać owego czasu nie było zwyczajem. Obawiano się zdrady pisma, niewiasty wcale pisać nie umiały, potrzebowała więc wojewodzina pośrednika, a tego się lękała.

Pozostawało jedno — zwierzenie się komuś zaufanemu, któryby do Borkowicza pojechał z przestrożą. Na takim człowieku właśnie wojewodzina nie zbywała.

Dwór cały przywiązany był do niej i do posług gotowy — ale wojewody obawiali się wszyscy...

W niepewności tej wojewodzina uciec się musiała do Biskupa, o którym wiedziała że mąż był chrześcijańskiego ducha, nieskory do potępiania i miłosierny...

W chwili gdy Panosza z Poznania wyjeżdżał w małym poczie po cichu... inną drogą przesłana przestroga... gonila za Maćkiem po dworach, które objeżdżał.

Maciek Borkowicz po powrocie z Krakowa, nagradzając sobie czas stracony, nie pojechał ani do Koźmina, ani do żadnego ze swych licznych dworów, w których zwykł był obozować. Od granicy Wielkopolski gromadząc koło siebie przyjaciół rozpoczął wędrówkę od komina do komina biesiadując ze swojemi, rozповідаjąc szy-

dersko o królewskim weselu, o przyszłych nadziejach, sposobiąc się do wypowiedzenia posłuszeństwa wraz z rycerstwem, które sobie jednał.

W ten sposób dojechał do brata do Czacza, u którego był jak w domu i tu niemal wiec się do niego zbiegł, aby z ust wodza usłyszeć, co czynić dalej i jakie on miał nadzieje.

Maciek Borkowicz nie wszystkim się może spowiadał otwarcie, ale w ciaśniejsem kółku nie taił się z tem, że stanowcza chwila wkrótce nadejść mogła. Dodawał, przechwalając się, że z królową dawne stosunki odnowił, i że będzie u niej w łaskach, spodziewa się króla zniewieściałego uwodzić do ostatka, tak, że on w zdradę jego wierzyć nie będzie, aż gdy już zapobiedz' jej okaże się zapóźno.

Zausznicy Borkowicza nie robili z tych zwieżeń tajemnicy przed drugimi. Wieści uwłaczające czci młodej królowej rozchodziły się po kraju, a zrzeczność Maćka, który zuchwalstwem swoim oczy zaprószał, podnosiła jego znaczenie.

Nie wątpiono, że pod takim wodzem uda się wielkopolanom oderwać i swobody dawne odzyskać...

Borkowicz, jak wszyscy tego rodzaju ludzie, wążący się na wywrót i zaburzenie, aby z nich korzystali: — więcej mówił i obiecywał, niż sam trzymał o tem co czynił, sądząc, że kłamstwem podniesie w swoich męztwo i ochotę do buntu.

Zaręczał im, że umowę miał z Brandeburgami, że szlęzcy książęta mu pomoc przyrzekli, że krzyżacy popierać go będą. Ponieważ wiodło mu się dotąd szczęśliwie, nikt o prawdzie słów jego nie wątpił.

W Czaczu nie tylko dwór dosyć lichy był pełen, ale podwórze i szopy. Ziemianie ciekawi, nieustannie przyjeżdżali się dowiadywać i mieniali. Borkowicz coraz głośniej i śmielej przemawiał.

Trwało to już dni kilka, gdy jednego wieczora proboszcz miejscowy, człek spokojny, który się rzadko we dworze ukazywał, przyszedł pieszo w godzinie niezwykłej.

Ksiądz był onieśmielony i znając obu Borkowiczów, stosunków z nimi unikał. Krzywdzono go w dziesięcinach, nie mówił nic, ani się skarżył, dla świętego spokoju. Zjawienie się jego we dworze i to jeszcze czasu pobytu Maćka, uderzyło wszystkich. Nie mógł przyjść darmo. Brat starosty sądząc, że szło o jaką sprawę sporną z probostwem, księdza, jako niepotrzebnego świadka chcąc się pozbyć, wyszedł przeciwko niemu, lecz na zapytanie o to, czyby miał co do niego, proboszcz cicho odpowiedział, że chciał się tylko pokłonić panu staroście.

Chociaż Maciek z duchownymi nie żył w wielkiej druźbie, wszystkich sobie chcąc jednać, nie pogardził i proboszczem.

Ściągnął go do siebie na ławę, na której wy-

ciągnięty leżał, kubek mu podać kazał i począł od żartów ze starego, do których oklepane potwarze na stan duchowny rzucane, za wątek służyły.

Stary ksiądz zbył go mileżeniem, znosząc je cierpliwie. Osób było w izbie nadto, aby się wdawać przy nich w ponfalszą rozmowę.

— Panie starosto — rzekł z cicha — przychodzę do was nie w mojej sprawie, ale w waszej własnej, nie po mej woli, ale wyższego rozkazaniam — przejdźmy do komory osobnej, tak, aby tego nie spostrzeżono.

Borkowicz zdumiał się wielce. Spojrzał na nbogo odzianego klechę pogardliwie, pomyślał trochę i rzekł wstając...

— Idźcie za mną, kiedy zechcecie — ciekawym co mi powiedzieć możecie... Znajdziecie mnie obok...

Proboszcz, chwilkę zabawiwszy w wielkiej izbie — nieznacznie za Borkowiczem się wysunął.

Czekał on nań w ciasnej izdebce, która wysłaniami na podłodze łóżami gości była zapelnioną. Na jednym z nich, ręce pod głowę założywszy, leżał starosta.

Dał znak księdzu, aby w głowach na ławie przysiadł.

— Co mi masz do powiedzenia? —

Proboszcz zbierał się długo nim odezwał. Szyderski ton Starosty drażnił go.

— Mam polecenie do miłości waszej — rzekł — bo inaczej bym mu pokoju nie mącił. Posłem jestem, a że do tego nie nawykłem, źle się może sprawię, lecz spełnię powinność.

— Mow, co masz, a w płachty nie zawijaj — rozśmiał się Borkowicz, domyślając, że duchowieństwo mogło życie jego jawnie rozwiązać naganiać, i sposobiąc się ostro klechę odprawić.

Wtem ksiądz mówić zaczął spokojnie, powoli, i od pierwszych słów Maciek z lekceważącego i urągającego zmienił się, przybierając twarz surową i zasepioną.

— Posłano mnie do was, panie starosto, chociaż prawa nie mam powiedzieć, kto mi dał rozkaz i czyją spełniam w tem wolę. Pewnie dobrze wam życzyć musi i stać wysoko ten, co wam śle przezemnie ostrzeżenie.

Nowe na was zaskarżenia poszły do majestatu... jesteście obwinieni; wojewoda, wuj wasz zmuszony zostanie njąć was i dać do więzienia...

Borkowicz równemi nogami z łoża się zerwał.

— Mnie? ująć? mnie do więzienia wtrącić? Krzyknął na cały głos. — Stary dziad oszalał chyba! On, mnie!..

Ksiądz dał mu się wyburzyć.

Borkowicz zbliżył się doń, żądając wyjaśnienia natarczywie.

— Możecie ze mną począć, co się wam żywnie

podoba — odparł proboszcz spokojnie — więcej nad to, co mi polecono, nie powiem wam.

— Kto polecił? — domagał się Maciek.

Ksiądz milcząc, głową potrząsł.

— Nie może być, aby niedołądze temu takiej się rzeczy zachciało, która jest nad jego siły! zawołał Maciek. Chcą mnie tylko nastraszyć, ludzi mi rozpędzić, zmusić może do głupiej ucieczki, abym to stracił, na co lat kilka pracowałem; to zdrada! to podstęp!

— Trzymajcie jak zechcecie — rzekł ksiądz — ja tyle wiem, co mi powiedzieć kazano, i to wam mówię. Postanowił wojewoda was uwięzić — podobno rozkazy są wydane. Macie się strzedz i na baczności mieć, w małej kupce nie jeździć, a co najrychlej się oczyścić przed samym wujem i w Krakowie.

— Do tego starego gnoja nie pojedę! — zawołał Borkowicz — między nami rozrzesany obrus, nie siądziemy do jednego stołu, a w Krakowie dwa razy byłem, dopiero co ztamtąd powracam. I tam nie pojedę...

Baśnie są, strachy są próżne, a ty klecho, którego narzędziem uczyniono, gadaj mi zaraz kto cię posłał...

I dodał w gniewie.

— Gadaj mi, chcesz li być cały...

Nie uląkł się duchowny, pomilczał trochę, westchnął i odparł spokojnie.

— Choćbyście mnie ubili, mówić więcej nie mogę.

Zimna krew, z jaką to rzekł, zburzyła Borkowicza, rzucił się do drzwi, wołając brata. Ten nadbiegł natychmiast. W kilku słowach drżący z gniewu Maciek objaśnił mu o co chodziło. Oba razem wpadli na księdza, który z ławy powstawszy, ręce na piersiach złożył i stał z głową spuszczoną, milczący.

Jaśko z Czacza był tak śmiałym, że na suknię duchowną nie zważając, chwycił go za ramię i poczał starym, który się chwiał na nogach, potrząsać, grożąc mu.

Nic i to niepomogło. Owszem, proboszcz oburzony takim obejściem się, już więcej nie mówić nie chcąc, zbył go tylko słowem.

— Nie mogę.

Obaj bracia równie gwałtownych charakterów, poczęli wołać, kląć i na księdza napadać w sposób najzuchwalszy, szarpiąc go za suknię i chwytając za barki.

Nie pomogło to nic, lecz w końcu Maciek pierwszy się pozornie przynajmniej opamiętał.

— Dać mu pokój! — zawołał, — gdyby plechy wygolonej nie miał na łbie, postąpiłbym z nim inaczej, ale się z biskupami zadzierać teraz nie chcę. .

Ksiądz, który się spodziewał, że go suknia

obroni, stał nieporuszony i po chwili milczenia dodał tylko.

— Chcecie słuchać przestrogi, dobrze — nie — czynicie jak wam lepiej. Podejrzewacie zdradę — ja się obraniać nie myślę. Żaden kapłan nie podjąłby się służyć za narzędzie...

Maciek wybuchnął znowu.

— Jeśliś nie ty zdrajca, to ten co cię posłał — wojewoda się mnie powinien obawiać, nie ja jego... Ja się dziada, pół trupa tego nie zleknię.

— Tem dla was lepiej, jeżeli się nie boicie — odparł proboszcz, zabierając się do wyjścia.

Zaparto mu drogę. Jaśko począł teraz inaczej, bróg siana i kilkanaście korec owsa obiecując księdzu, jeśliby wydał, kto go posłał.

Proboszcz się uśmiechnął.

Borkowicz kopę groszy chciał dać na kościół — ale i to nie poskutkowało.

Robiło się późno, goście z izby pierwszej rozchodzić się zaczęli, a drudzy na ławach i ziemi do spoczynku układać; nie sposób było proboszcza gwałtem dłużej trzymać, a tem mniej więzić. Puszczono go więc, a dwaj bracia i syn Maćka pozostali, radząc, co czynić...

Borkowicz upierał się przy tem, iż oznajmienie było podstępem dla onieśmienia go.

Jaśko wpadał na myśl inną —

— Wojewoda gniewny na ciebie — rzekł — a zaufany w siebie. Siły twej nie zna, ślepym

był zawsze, dziś do reszty rozum stracił. Kto go wie? mógł pomyśleć o tem, czego nie dokaże. a Marussa ulitowawszy się, ostrzedz kazała.

Zamyślił się Borkowicz.

Trafne przypuszczenie brata zachwiało jego przekonaniem.

Ponieważ ludzi sobie oddanych miał w Poznaniu, a nawet na dworze Beńka, tej samej nocy wyprawił dwóch zaufanych ziemian po język do miasta,...

We dworze, pomimo, że Borkowicz zaklinał się iż nikogo obawiać niema przyczyny, Jaśko środki ostrożności nakazał. Postawiono strażę, wysłano ludzi aby zbrojnych więcej zgromadzić. Nie przyznawano się do obawy, aby popłochu nie siać między ziemianami, lecz przestroga w las nie poszła.

Udawano przed przybywającymi dawną śmiałość — oglądano się jednak baczniej.

Borkowicz, który miał już do Koźmina jechać, bo tam mu dogodniej było, zatrzymał się w Czaczu, ażby z Poznania nadeszły wiadomości.

Nie wątpiono, że wysłane szpiegi przyniosą jakąś skazówkę.

Dwa dni upłynęło, nim jeden z nich powrócił. Nie dowiedział się on nic więcej nad to, że wojewoda zaufanego swego Panoszę gdzieś tajemniczo wysłał... Budziło to podejrzenia i — wia-

domość, że Beńko ściągał zbrojnych co najlepszych do siebie.

Borkowicz sposepniał.

Drugi poseł przybiegł z potwierdzeniem nowin tych i drobnemi różnemi ze dworu wojewody plotkami, które dowodziły, że się tam do jakiegoś kroku stanowczego gotowano, że Beńko często i potajemnie się zamykał z Wierzbietą i t. p.

Przestroga więc proboszcza, który się już więcej nie okazał, i wyprawionym doń przez Jaśka posłom od niego drzwi zamknął — zaczynała nabierać innego znaczenia.

Maciek przechylał się na stronę brata. Nim wyruszył do Koźmina, kazał swoim koniecznie dosledzić, dokąd posłano Panoszę, bo tego się obawiał.

Nie łatwo było drogę jego wytropić. Upłynął tydzień a o Panoszy nikt języka dostać nie mógł, co Borkowicza do wściekłości na sługi pobudziło...

Groził im chłostą i więzieniem, bo nie pytając, czy który ziemianinem był i do szczytu należał, czy prostym człekiem, tych, co mu służyli, jak niewolników karał, nawet na gardle.

Za głowę gotów był zawsze płacić grzywny, a poszanować nikogo nie umiał.

Już się Borkowicz wybierał nareszcie z licznym poczem zbrojnych do Koźmina, gdy jeden z tych ludzi, na których najmniej rachował, głupi Dys — (bo go tak zwano) dał znać, że Panosza do po-

znania trudny, w prostej siermiędze, niedaleko Czacza, od tygodnia w gospodzie na gościńcu mieszkał, i z niej jakieś czynił wycieczki a zdawało się nawet, że i do Czacza samego mógł dotrzeć,

Wiadomość ta, wieczorem nadeszła do dworu, a przed północą Maciek sam, Jaśko i kilkudziesięciu ich ludzi ruszyli gospodę otoczyć.

Borkowicz ledwie z niecierpliwości konia na przedsieni doczekał, tak mu pilno było... Rwał się i kłął, miecza targając i wołając:

— Żeby mi nie uszedł rusin, bo wam łby porozkwaszam...

Gospoda na gościńcu pod lasem stała w miejscu kędy przejazd był znaczny do Poznania. Krzyżowało się tu dwie drogi wielkie. Ludzi w niej zawsze, szczególnie pod noc, gromady były, ale tych przejezdnych wcale się nie obawiali Borkowicze...

Ogień już zgaszony był w izbie i wszystko w niej spać się zdawało, gdy ostawiwszy ludźmi swymi szopy, Borkowicz kazał się do wrót głównych dobijać.

Wozów stało w gospodzie i pod nią dosyć, a że rozboje i napaści, szczególnie na kupców, pod te czasy częste bywały — zerwali się wszyscy podróżni, sposobiąc do obrony.

Borkowicz przygotowane pochodnie smolne zażędz kazał ludziom, nikogo nie wypuszczać, i gospodę a szopy trząść pilno.

Pierwszy, który wpadł w ręce Borkowicza gawiedzi był kupiec, rodem Niemiec, zwany też Niemczyn, który miał swoją ławę w Krakowie na Sukiennicach, a po kraju rozwoził towary różne.

Obyczaj ten mieli Maćka słudzy, i on sam, że dobrego obłowu z rąk nie puszczała nigdy. Niemczyn ukazywał list pod pieczęcią, że mu jeździć i kupczyć wolno było, ale ten zdarto i nogami zdeptano, wozy rozdrapano we mgnieniu oka i ledwie on sam z życiem się wyprosił, pozostawszy przy jednym biczysku, bo i konie dobre a zażywne pochwycono mu..

Inni podróżni, którzy Borkowicza znali z rozgłosu, wykupywali się...

Panoszy nie znaleziono, chociaż gospodę całą strześli wprawni do tego ciury Borkowicza, niebardzo zważając, iż ją zapalonemi łuczywami i pochodniami w perzynę obrócić mogli.

Już odciągać mieli, gdy jeden z Borkowicza zbójów na wyżki wlaź i tam się oko w oko z Panoszą spotkał, który go mieczem tak ciął, iż padł trupem. Padając, krzyknął, rzucili się inni i Rusina chwyciwszy, choć ich szpetnie porąbał, ściągnęli z wyżek, a tu jedno Zdrowaś nie trwało, gdy dwaj Borkowicze śmierć mu sami zadali.

Panosza słowa z ust nie puściwszy, bronił się jak lew, ranił Jaśka, dwa razy we zbroję ude-

rzył Maćka, lecz naostatek w szyję śmiertelnie ugodzony — poległ.

Trupa obejrzano przy pochodniach odzierając go do naga, i wątpliwości nie ulegało, iż ten był, którego szukali.

Borkowicz uradował się niezmiernie, z go-spody ludziom co było napitku wytoczyć kazał, a sam z bratem do Czacza powrócił.

Znalezienie ukrytego tu Panoszy za dowód służyło niezbity, iż wojewoda istotnie coś zamie-rzał, a przestroga zdradą i podstępem nie była.

Gdy nadedniem do dworu zjechali, wołając o dobrze zasłużone jadło i napój, bo Maciek żar-łoczny był i pił wiele, pierwsze słowo, które mu się za stołem wyrwało, było:

— Niechże pan wojewoda na siebie baczy a z nory nie wyłazi, bo nim on mnie będzie w dybach miał — trupem go położę — na po-strach drngim. Tak mi, panie Boże dopomóż!!.

Nie wahał się pana Boga wzywać na pomoc, bo choć krew przelewał i ludzkim życiem sza-fował — po swojemu jednak modlił się i na kościoły dawał za grzechy...

— Ja z tego tajemnicy czynić nie myślę — dodał — owszem, głosić będę i wołać choćby z dachu, że wojewoda mi nie ujdzie! Chciał on mnie do więzienia dać — ja go do takiego zam-knę, z którego nie wynijdzie aż na sąd ostateczny...

Kto mi wojnę wypowiada, choćby mi nie wujem a ojcem rodzonym był — temu gębę na wieki stule.

Mówiąc to, walił w stół pięścią Maciek aż się na nim naczynie wszystkie trzęsło i brzęczało, a potem zamilkł i pił.

Brat ani syn nie bronili Beńka, wiedzieli, że z nim rozprawiać, odwodzić go, chceć upamiętać — daremne było.

W Poznaniu tymczasem wojewoda, zaufany w Panoszy rozum i zręczność, czekał niecierpliwie na powrót jego.

Przeciągał się on; Beńko codzień rano zapytywał, czy nie wrócił, a wieści o nim żadnej nie miał, aż nagle ktoś przyniósł gadkę o najeździe na gospodę, o ograbieniu Niemczyna, który pieczo się przywłókł do Poznania, i o — prawdopodobnem zabójstwie Panoszy.

Beńko wierzyć temu nie chciał.

Posłał Wrocisza, drugiego swego ulubieńca, na miejsce.

Ten, przybywszy do gospody, naprzód usłyszał o napadzie — potem o zabiciu człeka, którego już pochowane w mogile pod lasem, gałęzmi narzuconej. Nie było innego sposobu przekonania się, czyli w istocie Panosza zabity był, jak mogiłę rozkopać. Choćby ciało porąbane było i zepsute, Wrocisz mógł poznać zamordowanego

po tem, że kąpiąc się z nim, u lewej nogi widział sześć palców...

Jakoż w mogile gdy posieczonego do niepoznania odkryto, Wrocisz nogę lewą znalazł nietkniętą. Nie ulegało wątpliwości, iż on był, a nie kto inny.

Ze smutną tą wiadomością powrócił do wojewody, któremu, znając jego przywiązanie do Panoszy, ostrożnie i nierychło opowiedziano o wszystkim.

Stary Beńko począł od tego, że się po wiernym słudze rozplakał, ale natychmiast ochłonawszy z żalu, poprzysiągł, że go pomści.

Z wielką gorącością zaczęto się z rozkazu jego sposobić do oblawy na Borkowicza. Wojewoda, którego noga się zbliżniła, nikomu dowództwa jej powierzyć niechciał, ale sam z ludźmi postanowił jechać. A że tajemnicy nie czynił z tego przed żoną, przestraszona o męża Marussa na klęczkach go prosić zaczęła, aby się wstrzymał od tego kroku, w jego wiekn już niebezpiecznego.

Wojewoda mówić sobie o tem nie dawał, troskliwość żony o siebie przypisując przywiązaniu jej do siostrzeńca.

Tem usta jej zamykał.

Zaczęto się wybierać skwapliwie bardzo, lecz — choć Beńko się spieszył, po staremu naglił, gderał, a z dnia na dzień odkładał; — jużby może, tak przeciągając, ochłonał z gniewu i żalu, gdyby

usłużny ziemianin Zglicz, do Nałęczów się liczący, nie przybył doń z ostrzeżeniem, iż Borkowicz na życie się jego zaprzysiągł.

Zglicz ten w obu obozach bywał, pił z jednymi i drugimi, jadał u Borkowicza, ale więcej się na stronę Beńka przechylał. Napadały go różne usposobienia to dla jednego, to dla drugiego, wahał się — przecież wojewody mu więcej żal było.

Beńko, posłyszawszy to, odmłodził z gniewu... Wysłał zaraz dowiedzieć się, gdzie się Maciek znajdował, i postanowił wprost nań na Koźmin ciągnąć.

Żadna siła ludzka od tego odwieść go już nie mogła.

Strwożona przedtem o siostrzana, biedna wojewodzina lękać się teraz musiała zarówno o obu, może nawet więcej o męża, który ani siłą, ani przebiegłością nie mógł się równać z Borkowiczem... Straciła głowę, płakała, modliła się, naostatek niebezpiecznie zachorowała...

Beńko, który do towarzyszek życia długiego był przywiązany, musiał wyprawę na siostrzana odłożyć, gdyż Marussa wkrótce nie lekarza ale księdza wezwwała do siebie, zgon swój przeczuwając.

Na łożu śmiertelnem ostatkiem głosu zaklinała jeszcze męża, ażeby dla pokrewieństwa, do sprawy z siostrzanem się nie mieszał i zdał ją na Wierzbietę.

Stary mruczał, uspokajając ją, coś niewyraźnego, nie jednak nie przyrzekł, i co raz postanowił, to dotrzymać miał za obowiązek.

Wiedziano już o zajściu i wzajemnych pogroźkach, ustąpienie byłoby starego o niesławę przyprawiło.

Zmarła wojewodzina. — Beńko wyprawił pogrzeb wspaniały i stypę — zamknął się na dni kilka, oplakując ją; potem, przywoławszy kapelana i kanclerza Poznańskiego, sporządził testament, majątności przekazując stryjecznym, a wieś jedną na nabożeństwo pośmiertne i msze za duszę żony i swoją — wikarjuszom tumu poznańskiego.

Dopełniwszy to, na nowo się do wyprawy na Borkowicza gotować zaczął. Czasu dosyć upłynęło, o starości słychać było, że swoim zwyczajem po Wielkopolsce się przejeżdżał i żalów nań a skarg przybywało codziennie.

Chodziły wieści, że nieprzyjaciół dawnym zwyczajem pozbywał się, po gościńcach ich napadając lub ludzi nasadzając, że i na dwory najeżdżał, a gwałty ciągle popełniał bezkarnie.

Nim wyprawa i oblawa na Maćka obmyśloną została — wojewodzie przypadła potrzeba jechania do majątności w Kaliskiem. Wybrał się z poczem nie zbyt licznym, odłożywszy rozprawę z siostrzanem, a pogroźki jego lekceważąc. Nie wierzył w to, żeby się nań mógł porwać.

Koni miał z sobą Wojewoda ze dwadzieścia,

a że sam długiej podróży dla nogi konno jeszcze odbywać nie mógł, jechał na wozie krytym...

O Borkowiczu w okolicy słysząc nawet jakoś nie było.

Podróż Beńka, zapowiedziana wcześniej, bo i z niej tajemnicy nie czyniono, na kilka dni nim wyruszył z Poznania, wszystkim była wiadomą.

Na wsiadanem przybył doń z pożegnaniem Wierzbęta — a zobaczywszy orszak mały i nieosobliwie uzbrojony, miał sobie za obowiązek przypomnieć Beńkowi, że z Borkowiczem się mógł gdzie spotkać.

Rozśmiał się ufny w swą powagę wojewoda.

— Ja go szukać teraz nie będę — rzekł, a on, ręczę wam, gdyby o mnie zasłyszał, rychlej się gdzieś skryje, niżby miał mnie zaczepić. Wie on, że ja z sobą żartów stroić nie daję!

Wierzbęta chciał mówić coś jeszcze, nie dał mu wojewoda. Rozstali się tak i Beńko w swą podróż małemi dniami wyruszył.

Pierwszego dnia nic się nie trafiło, coby za niepokoić mogło... Zawczasu przygotowany nocleg czekał na Beńka o mił pięć od Poznania. Za dnia przybyli do wsi, w której kmieć najzamożniejszy chatę swą odstąpił staremu.

Wioska leżała na skrajn lasu, a chata w oddaleniu pewnem od wioski. Beńko położył się zawczasu, aby wypocząć i nazajutrz rano w dalszą wyruszyć drogę. Czeladź jego i żołnierz nie

spół jeszcze, i przy ognisku nieopodal warzono kaszę ze słoniną dla nich, gdy na raz jak burza przypadła gromada konnych, z krzykiem i wrzaskiem wprost na chatę biegnąc...

Rozbrojono orszak wojewody nim się porwał aby biedz po miecze i oszczepy, już Maciek Borkowicz drzwi chaty łamał i z mieczem dobytym wpadł do izby krzycząc:

— Gdzie ten stary dziad? gdzie ten, co mnie chciał więzić...

Beńko, który nigdy się nie położył, żeby przy sobie tuż nie miał korda obnażonego, bo od młodych lat nawykł był do tego — z łoża się porwawszy z młodzieńczą śmiałością stanął do obrony w pośrodku ciasnej izby...

Walka była nierówna, bo Borkowicz nietylko młodość za sobą miał, siłę, ale i uzbrojenie, gdy Beńko w jednej koszuli z pościeli się zerwał.

Poczęli się rąbać, lecz każde cięcie Maćka raniło i po każdym krew starego stryskała, gdy miecz Beńka szczybił się próżno na żelaznej zbroi przeciwnika...

Zmuszony raz w tył się cofnąć wojewoda, ośliznął się na krwi własnej i padł na wznak na łoże, a nielitościwy Borkowicz leżącemu i bezbronnemu miecz w piersi wraził tak, iż z jednym krzykiem — Jezus! — Marja! duszę wyzionął. Ludzie wojewody w części rozproszeni, pochwytani, choć się bronić w kilku chcieli do ostatka,

zobaczywszy pana zabitego, strwożeni, głowy potraciwszy, rzucili broń uciekając.

Gawiedź Borkowicza natychmiast rozerwała co było na wozach i koniach, trupa nawet nieposzanowawszy, odarto do naga, i Borkowicz upojony, tryumfujący, szydząc a odgrażając się że wszystkim nieprzyjaciółom swym taki los zgotuje— odjechał zaraz do Koźmina..

Napaść i zabójstwo były tak jawne, w obec tyłu świadków spełnione, iż Borkowicz, który inne swe sprawy umiał zacierać, tej wcale taić nie myślał.

Przybywszy do swoich, głośno oświadczył, iż wyzwany przez wojewodę, który się nań odgrązał śmiercią, w walce z nim, broniąc się, ubił go.

Wiedzieli wszyscy, co to w ustach Borkowicza znaczyć miało — nikt nie śmiał jednak obwinić go, bo przez to zabójstwo silniejszym się stał jeszcze, i popłoch poszedł po nieprzyjaciółach jego.

W Poznaniu strwożyli się niemało ci, co z nim nie trzymali, zdawano się obawiać, aby nie opnował miasta... Wierzbęta, dowiedziawszy się o śmierci przyjaciela, sam po ciało jego pojechał natychmiast i gońca wysłał do Krakowa, donosząc o nieszczęściu, a sprawcy nie oszczędzając.

Król Beńka kochał wielce, zdawało się więc, że miarka Borkowicza dopełniła się, i że go czeka surowa kara, tem większa, iż napaść była zdradziecka, na starca i na powinowatego.

Stryjeczni pozwali go o głowę przed sąd królewski.

Borkowicz zdawał się do tego przygotowany.

Godzina, w której otwarcie miał bunt podnieść jeszcze nie wybiła — mówił głośno że pozwany pojedzie do Krakowa i sprawę swą sam królowi przełoży.

Wszyscy druhowie i popiecznicy jego odradzali mu podróży i zło wróżyli — Maciek z zuchwalstwem największem zaklinał się, że stanie na sąd i sprawę wygra...

Kazał wszystko gotować tak, aby poczet miał i piękny, i liczny do drogi...

Jakoż w skutek gońca Wierzbięty, od króla przybył urzędnik i woźny, powołując Borkowicza na sąd do Krakowa bez zwłoki...

Z wielkiem lekceważeniem, wesoło przyjął starosta to wezwanie, urzędnika i woźnego obdarczył, nakarmił, upoił i natychmiast dał rozkazy do podróży.

Ponieważ w napaści na wojewodę brat i syn Borkowicza widziani byli i czynni, oni też oba do odpowiedzialności pociągnięci zostali, wołano i ich...

Jaśko z Czacza stehórzył — i skrył się, choć Maciek chciał go mieć z sobą. Syn byłby z nim jechał, lecz, po namyśle, ojciec sam mu nie pozwolił towarzyszyć sobie.

Miał jednego i wahał się na niebezpieczeństwo narazić, choć sam się go nie lękał...

Podśpiewując, świszcząc, żartując ze strwożonych; butno, wesoło, pańsko wybrał się pan starosta, tak pewien swego, iż nigdy go jeszcze nie widziano śmielszym... na co rachował, przyjaciele nie pojmowali, lecz to ich na duchu podtrzymało, iż go nie odstąpili.

— Maciek swojego pewien, mówiono, nie mu nie będzie.

W Krakowie król wiadomość o zabiciu Beńka przyjął z wielkiem z razu oburzeniem przeciwko zabójcy. Dosyć już nabroił Borkowicz, wszyscy nań powstawali, ostrzegali zewsząd, obwiniano go jednogłośnie... król musiał domierzyć sprawiedliwość surową.

Tak się zdawało wszystkim, którzy króla bliżej nie znali. Miał to w sobie Kaźmirz, iż do czego skłonić go chciano gwałtownie, temu się instynktowo opierał...

Wszystkie dotychczasowe zarzuty przeciw Borkowiczowi żadnymi dowodami przekonywającymi nie były poparte.

Śmiałość, męstwo, energja, zdala królowi go więcej zalecały, niż mówiły przeciwko niemu.

Potrzebował takich ludzi.

Nim więc przybył Borkowicz, powołany przed króla, Kaźmirz sam jego sprawę czas miał rozważyć — i — powiedział sobie że jeśli się odważy stawić osobiście, a bronić — winy na nim pewnie głównej nie ma... nie poczuwać się będzie do niej.

Prorokowali wszyscy, iż Maciek nie przybędzie.

Tymczasem dnia jednego wjazd do Krakowa z pańską wspaniałością uczyniwszy, gospodę zajmawszy w Rynku, Maciek przeciw wszelkim przepowiedniom osobiście się nie wahał w obronie swej jawić do króla.

Podziwienie było niezmierne... ludzie z początku wierzyć temu nie chcieli. Ciekawość podbudzoną była do najwyższego stopnia.

Tegoż dnia nie zaniedbujący żadnego środka obrony Borkowicz, wieczorem udał się do Wierzynka.

Zbój i zuchwalec, gdy mu tego było potrzeba, przed ludźmi i przed królem, nie zapierając się męztwa swego, umiał okazywać w świetle rycerskiem, z butą pańską. Na wykrętnych wyrazach gdy chciał, nie zbywało mu.

Tu w Krakowie inaczej się stawić, mówić musiał inaczej niż w Koźminie.

Wierzynka zastał, gdy od wieczerzy wstawał, i rzuciwszy nań okiem, pomiarkował z chłodnej

twarży ulubieńca królewskiego, iż niełatwo mu się przyjdzie oczyszczać.

Wierzynek zdala go pozdrawiał, nie poczynając rozmowy, a choć przy nim był jeden z Rajców Krakowskich Keczer, nie zważając na świadka, Borkowicz natychmiast wprost o sobie mówić począł

— Dziwicie się może, iż mnie tu widzicie, rzekł śmiało. Oczernili tu Borkowicza tak, iż tylko głowę pod topór nachylić.. Ha? Otoż ja ją tu przynoszę królowi pod stopy, niech czyni co chce...

Wierzynek słuchał i milczał

— O co tam więcej mnie obwiniać będą, nie dbam, a o zabójstwo Borka sam się skarżę, tak jest! Zabiłem go, tak, bo mnie pokrzywdził, czyniąc przeciwko pannę zdrajcą, bo się on na mnie odgrażał więzieniem i gardłem... Musiałem za potwarz pomsty szukać...

Keczer, nie chcąc słuchać, wysunął się, zostali sami z Wierzyńkiem.

— Król bardzo na mnie zagniewany? Zapytał Borkowicz...

— W sprawie waszej jam z miłością jego nie mówił — odparł Wierzynek.

— Choćbyście nie mówili — dołożył Borkowicz — wy wiecie wszystko — boście króla najbliżsi. Jak myślicie, czy mi stać będą na gardło?

Mówił to z taką obojętnością, jakby się wcale

śmierci nie obawiał. Wierzynek popatrzawszy nań — ruszył ramiony.

— Nie pytajcie mnie, rzekł, bom ja niewiele świadom. Gdyby szło o żupy, o kopy, o pieniądze, o skarb, domysliłbym się co was czeka... krwawe sprawy nie moje ..

W tem się nie mylicie, dodał, iż na was oskarżeń jest różnych, wiele... alem nie słyszał od króla nic, z czegooby o wyroku jego można wróżyć. Pan nasz cierpliwy jest i rozumny.

Napróżno Borkowicz zagadywał różnie, chcąc go wyrozumieć, nie dobył nic z rozumnego Wierzyńka i poszedł z niczem, innemi drogami szukać języka, jednać sobie przyjaciół i popleczników.

Wierzynek tegoż wieczora był na zamku. Miał on przystęp do króla, jakiego nikomu nie dawano. Wchodził w każdej godzinie, mówił z nim kiedy chciał.

Każmirza znalazł już uwiadomionym o przybyciu Borkowicza i uprzedzonym dlań lepiej tem, że w sprawiedliwość króla zaufanie miał...

Spytany Wierzynek, powtórzył Kaźmirzowi co z ust jego słyszał — król słuchał milezący...

Po Wierzyńku nadszedł Kochan i zagadnął też o Borkowicza, którego nie cierpiał, występując zajadle przeciwko niemu.

Większej mu przysługi nie mógł uczynić. Zmarszczył się król, ruszył ramionami.

Nastawanie na Maćka, budziło w nim właśnie nieufność i chęć obronienia go...

Wysłuchawszy Rawy, król rzekł krótko.

— Sędzia dwn stron słuchać powinien, nim wyrok ogłosi, a tyś pono nie słyszał więcej nikogo, tylko tych, co potępiają?

Zdziwiony Kochan — zamilkł.

Drugiego dnia Borkowicz, nie zbyt spiesząc, posłał prosić o posłuchanie u króla. Naznaczono je na dzień następujący.

Gdy wieść się po Krakowie rozeszła, iż osławiony warchoł wielkopolski przybył i miał być sądzonym, ci, co przeciwko niemu mieli zarzuty wielkie, pospieszyli z niemi do króla.

Ks. Suchywilk między innymi, któremu wuj Arcybiskup polecił sprawę Beńka, przyszedł z całym spisem gwałtów, zabójstw, napaści, które przypisywano Borkowiczowi, domagając się, aby go naprzód do więzienia dać i zapobiedz zdradzie, bo tej były jawne poszlaki w stosunkach z Brandeburgami.

Król wielkie miał zaufanie w Suchywilku, wierzył w jego rozum i naukę, lecz wszystkie te nalegania zawsze na nim skutek przeciwny czyniły.

Żał mu było energicznego i śmiałego człeka.

Zbywał milczeniem, nie dając poznać po sobie.

Gdy chwila posłuchania nadeszła, a Maciek

jako łaskę największą dopraszał się u króla, aby mu pozwolił we cztery oczy naprzód mówić z sobą, chociaż zwyczajowi to było przeciwnem — Kaźmirz zezwolił.

Wszedł Borkowicz ani zbyt zuchwale, ni wielkiej nie okazując trwogi... król przyjął go zimno.

— Dopełniliście miary waszych gwałtów, o które was nieustannie obwiniają... padł pod waszemi ciosami najlepszy mój, stary sługa, wuj wasz, Beńko...

Borkowicz ręce założył na piersiach.

— Tak, miłościwy królu — począł gorąco i ze wzruszeniem, zabiłem go, abym sam przez niego zabitym nie był. Stawię sześciu, postawię dwunastu świadków ziemian, jako się jawnie i głośno odgrażał iż mnie za mniemane jakieś bunt, nie czekając wyroku waszego, na gardle karać będzie...

Czynił mnie przeciwko miłości waszej zdrajcą — tego mu darować nie mogłem.

Człowiek jestem, grzesznym się czuję, krwią się nieraz zmazałem, nie będę przeczył, biję się w piersi... ale mnie ludzie stokroć gorszym uczynili niż jestem... Rzucają na mnie potwarze...

Król słuchał milczący

— Z Brandeburgami macie konszachty? rzekł krótko...

— Na Brandeburskiego, jako na sąsiada — rzekł — oko pilne mieć muszę, bo gdy ja nań

patrzeć nie będę, to kto z nas u nich czuwać potrafi? Czy Wierzbęta nieudolny i łatwowierny? czy nieboszyk Beńko, który z domu się nie wychylał...

Nie dla siebie ja ich starałem się podpatrzeć i podsłuchać, ale dla miłości waszej. I za to mnie zdrajcą czynią.

Każmirz nic nie odpowiedział.

— Mówić na swą obronę umiecie dobrze — odezwał się — lecz dla czego wszyscy na was powstają? powszechny głos was obwinia? — Jeden przeciwko wszystkim nie możecie słuszności mieć.

Kto za wami choć słowo rzecze?

— Miłościwy królu — zawołał Borkowicz — w Krakowie ja obrońcy pewno nie znajdę, ani się go szukać kuszę, a w Wielkopolsce głosów za mną więcej znajdę, niż tu przeciwko sobie...

Dajcie mi ich postawić przed sobą... Wszyscy, co się pisali do związku ze mną, za który mnie też skarżono, potwierdzą, żem ładu i porządku chciał i o niego się starał. Musiałem się nieraz z warchołami zetrzeć i nie jednego trupem położyć. A coby dziś w Wielkopolsce za oczyma było, gdyby nie ja. .

Nie mogli na mnie innej winy znaleźć, zmyślili główną, czyniąc zdrajcą przeciwko tobie?... Czyżem ja niepamiętny, co królowi winienem, kto mnie uczynił czem jestem, kto obdarzył

i z bogacił? Byłbym wart śmierci za niewdzięczność...

Spojrzał, mówiąc to na króla, który nie okazywał gniewu i zamyślony słuchał.

Dodało mu to odwagi. Począł się rozwodzić szeroko nad stanem Wielkopolski, nad nieprzyjaciołmi swemi, dowodząc, że oni razem królewskimi byli, albo na dobro pańskie ślepemi.

Kilka razy król słowo jakieś wrzucił, na ostatek powrócił znowu do zarzutu morderstwa na Beńku spełnionego.

Maciek do niego przyznając się, na kolana padł, ręce złożył i — miłosierdzia błagał. Winie swej nie zaprzeczał; ale był do niej popchnięty, zmuszony.

Posłuchanie trwało niemal godzinę, naostatek król wstał i ręką znak dał aby się oddalił — odchodząc do komnat osobnych... Borkowicz z posłuchania wracając zmęczony, znękany, przybity naumyślnie się ukazał, aby się nie domniemywano, że król nadto był dlań łaskawym, i nie stawiano więcej przeciw niemu.

Poszła wieść po mieście, iż sprawa Borkowicza źle stała... On — zamknął się w swej gospodzie, z wejrzenia króla, i z mowy jego domyślając się wcale inaczej.

Nie mylił się — Kaźmirz na przekor wszystkim, choć go nie uniewinniał, skłonny był do łagodnego sądzenia.

Zabójstwo Beńka nie mogło ujść bezkarnie, lecz o te ze stryjeczniemi wojewody, jak bywało zwyczajem, mógł się Borkowicz ułożyć, płacąc za głowę... Dowodów nie brakło, że Beńko się w istocie na siostrzeńca odgrażał...

Z ks. Suchywilkiem mówiąc tegoż wieczora, król dał mu poznać, iż Maćka zdrady winnym nie sądził, a dla zabójstwa skazywać surowo nie chciał.

Zdziwiony prawnik, usiłował króla skłonić aby nie pobłażał — lecz — znalazł go twardo stojącym przy swoim.

Dnia następnego ze wszech stron posypały się zaskarżenia znowu, nalegania — wpływy. —

Nikt za Borkowiczem nie był, przeciwko nie mu wszyscy. Kaźmirz chłodno ale stanowczo oświadczył, że tak wielce winnym go nie widzi...

Wszelako zmęczony tem co słyszał, niechcąc sobie narazić Suchywilka i innych, w ostatku rzekł, że Borkowiczowi nakaże zgodę z rodziną zabitego, skaże go na grzywny — ale mu swobody nie odbierze, ani na gardle ukarze...

Tym, którzy czynili zdrajcą Borkowicza, król folgując, zgodził się na to, iżby nowe zaręczenie wierności na piśmie dał, i poprzysiągł służby królowi gorliwie, pod gardłem...

Ksiądz Suchywilk kanclerzowi pismo miał kazać zgotować.

Tak w chwili, gdy go wszyscy zgubionym

sądziłi, Maciek cudem prawie, przytomnością umysłu, chytrością i — szczęściem nadzwyczajnem — ocalał.

Zdumienie było wielkie.

O zbytnią dobroć obwiniano króla... o słabość niewytłumaczoną — Kochan, który pana swojego znał dobrze, uśmiechał się dwuznacznie i mruczał.

— Wszyscy na niego się rzucili... nikt mn dobrego słowa nie dał! Niemogło inaczej być.

Maciek, przywołany do wysłuchania wyroku, na kolana padł przed królem, bił się w piersi, obiecywał poprawę, zaręczał, że życie dać gotów za pana swego... Ochrypl, tak krzyczał i zmagał się na okazanie swej miłości i wdzięczności.

Przesadzone te objawy przywiązania na Kaźmirzu uczyniły wrażenie przykre. Ukazując mu się z tej strony Borkowicz nie obrachował się, że król miał instynkt w poznawaniu prawdy i odróżnianiu jej od fałszu. Kaźmirz z brwiami zmarszczonemi wysłuchawszy dziękczynienia, zimno odprawił Maćka.

W progu już był, gdy posłyszał głos króla goniący za nim.

— Przebaczyłem wam, Starosto.. lecz pamięjcie, że dobroć i pobłażanie się wyczerpują.. Nie spodziewajcie się łaski mej, jeżeli raz jeszcze obwinia was ..

Borkowicz, pismo na siebie wydawszy pod

pieczęcią przy świadkach, opnścił zamek szczęściem swem upojony, tryumfujący, zuchwalszy niż był kiedykolwiek.

W gospodzie czekali nań wielkopolanie, którzy mu towarzyszyli, a których był pewien ..

Nie zważając na miejsce, w ktorem się to działo, bo izba ścianą tylko z tarcie oddzieloną była od mieszkania gospodarza, Maciek od progu wołać zaczął.

— Wszystko skończone! Winszujcie i uczcie się, że śmiałość zawsze wygrywa! Biały jestem i czysty jak nowiutki rąbek. Pocziwy król dał się obalamucić! Wmówilem mu co chciałem, podpisałem co kazali, a teraz — silniejszy jestem niż kiedy! Niech mi kto się w drogę wleźć odważy.

I nim się przyjaciele na odpowiedź zebrali — dodał szydersko.

— Z tym królem ja zawsze zrobię, co zechcę, tak jak inni, co koło niego są, czynią z nim co się im podoba. Siostra mu koronę wzięła dla swojego syna, Suchywilk mu prawa dyktuje... Żydówka mu się sprzykrzy, królowa młoda, a to moja pani, bom jej łask pewny... przez nią i mój rozum doprowadzę do tego com zamyślał.

Natychmiast kazał Borkowicz miodu i wina przynieść, szaty swe zrzucił, które w dworze miał, bo mu one ciążyły, rozpaszał się, na ławie legł i językowi puścił wodze.

Drudzy ostrożniejsi napróżno się go hamować starali, nie dbał o nic, nie lękał się niczego.

W początku zamierzał natychmiast Kraków opuścić i do Wielkopolski powracać, nieprzyjaciółom swym okazując, że nad nimi wziął górę, namyślił się potem i dzień lub dwa, jak powiadał, dla wypoczynku chciał jeszcze zabawić.

Ci, co go znali wiedzieli o tem dobrze, że Borkowicz spoczywać ani potrzebował nigdy, ni lubił. Coś więc jeszcze miał do czynienia. Dnia następnego począł odwiedzać co znaczniejszych przy królu bawiących panów, pojechał do biskupa, odwiedził postarzałego Neorzę, który uzyskałszy przebaczenie króla, cicho siedział i pokątnie tylko szemrał przeciw niemu.

Z jego to ust pono wyszło po raz pierwszy owe przezwisko obelżywe, które Kaźmirzowi pozostać miało jako chwała jego—króla chłopów...

Neorza przyjął wielkopolskiego warchołę z większą ciekawością niż wiarą w niego.

— A co?—rzekł mu—i wyście przybyli królowi do nóg pisać, o przebaczenie prosić i nie myślicie już o waszych swobodach ziemskich. Tacyście wszyscy... na języku u was wiele, a gdy przyjdzie do roboty... nikogo nie ma!!

— Tak sądzicie?—odparł szydersko Maciek. Omylicie się pono na mnie! Ja długo moje piśkę wysiaduję, ale gdy się ono narodzi, będzie na co patrzeć...

— Znosek! — rozśmiał się Neorża, ramionami ruszając i splunął.

Borkowicz z czerwonego stał się, usłyszawszy to, karmazynowym. Spojrzał pogardliwie na ociężałego starca.

— Jakom żyw, nigdy nie miałem myśli, którejbym nie dokonał — rzekł. — Zobaczycie wy i ci, co mi zawierzyli, że mu Wielkopolskę wyrwę...

Podniósł pięść stuloną w górę.

— Może mu i co więcej jeszcze wezmę, o czym mówić nie chcę — dodał śmiejąc się. — Zobaczycie.

Neorża niedowierzająco głową trząsł, to Borkowicza rozjątrzyło. Nachylił mu się do ucha.

— Nim jęgo się stała, jam z terażniejszą królową miłość miał... Przez nią panem tu będę...

I pierścień na palcu ukazał zdumionemu Neorzie, który zamłkł.

— Król zestarzał, łatwowiernym się stał, miękkim, żona nim władać będzie gdy zechce, a ja nauczę ją, jak... — mówił przechwalając się Borkowicz i niedopowiedziawszy co myślał, urwał nagle.

Rozstali się z Neorżą wkrótce, bo Maćkowi pilno było jeszcze w różne kąty zaglądać. Chciał tu mieć swych obrońców i przyjaciół — nie żałując na to, by ich ująć sobie.

Zmierzchało już dnia tego, gdy, sługi swe odprawivszy do gospody, sam jeden, okrywszy

się opończę, aby łatwo poznanym być nie mógł, starosta wśliznął się do zamku. Czasu wesela wypatrzwszy, gdzie było mieszkanie królowej i niewieściego jej dworu — wprost szedł do Konradowej.

W oknach jej świeciło już, Maciek podszedł naprzód pod nie, rozglądał się do koła uważnie, potem śmiało do komnaty wkroczył.

Na widok jego stara ochmistrzyni, która słyszała już o jego pobycie w Krakowie, lękając się, aby przy dziewczętach, których dwie przy niej się znajdowało, nie począł mówić, czego one słuchać nie były powinny, skwapliwie je precz wysłała.

— Widzicie — odezwał się Maciek z miną wesołą — że ja o starych znajomych nie zapominam, a nie mam zwyczaju z rękami próżnemi wychodzić. Choć mnie królowa źle odprawiła — sądzę, że się namyśleć musiała — trzeba mi widzieć się z nią, to nic nie pomoże...

Konradowa słuchała nadąsana.

— Idźcież sobie szukać innego posła do tego, rzekła — bo ja ani wiedzieć, ni słyszeć nie chcę.

— Jam to już i od was i od niej słyszał — odparł Borkowicz — a no, odpędzić się nie dam... Nie doprowadzajcie mnie do ostatka... bo źle będzie.

Że pierścień okażę i powiem jakem go dostał i gdzie — to jeszcze nic, lecz, gdy się mścić ze-

chcę, powiem więcej — to, co było i czego nie było!!

Śmiał się, mrugając okiem.

Stara ochmistryni tym razem już, otrzaska-
na z pogrozkami, tak wielkiego jak wprzód nie
okazała strachu. Podniosła nań oczy, popatrzała,
i nie odpowiadając poczęła robotę jakąś oglądać.

Borkowicz stał i czekał, ale napróżno. Gniew
w nim rosnął.

— Namysłiliście się? — zapytał.

— Myśleć o czem nie było — zamruczała
stara. — Idźcie sobie odemnie... nie wskóracie
tu nic.

Zniecierpliwiony rzucił się Borkowicz i kłąć
zaczął po cichu.

— Czasu czekać nie mam — rzekł — jutro mi
ztań jechać potrzeba... Tyle tylko powiadam wam,
abyście królowej donieśli, że dziesięć dni czekać
będę... Zechce mi dać ucha, przyjadę tak, że
nikt mnie tu nie ujrzy, odpowie, że mnie nie zna,
naówczas ja okażę, żeśmy się i dobrze znali...
Dziesiątego dnia przyjdzie tu pacholę odemnie
po odpowiedź... Będę wiedział co czynić — tak,
lub nie...

Konradowa potrząsnęła głową.

— Ja wam dziś już powiadam — niedarmo
pacholę trudzić...

— Gardłem mi odpowiesz — wiédźmo stara—

zawołał z gniewem Borkowicz, jeśli pani swej zataisz, z czem jeszcze raz przyszedłem.

To mówiąc popatrzał na nieruchomą staruszkę, zżymnął się i poszedł do drzwi.

Zaledwie się one za nim zamknęły, gdy drugie od komnaty królowej otwarły się zwolna. Zbladła twarz Jadwigi ukazała się w nich.

Na widok jej pospiesznie wstała Konradowa, chcąc się tłumaczyć, lecz królowa nie dając jej ust otworzyć, odezwała się poważnie.

— Drzwi u was dla wszystkich stoją otworem? Od dziś dnia niech pacholę moje będzie na straży i nie wpuszcza mi tu nikogo bez opowiedzenia.

Konradowa tłumaczyć się chciała, królowa skinęła ręką.

— Słyszeliście? — powtórzyła surowo — taka jest wola moja.

Odwróciła się od niej i wolnym krokiem wróciła do swej komnaty.

Maciek zły i niecierpliwy przybiegł do gospody, po drodze ludzi swych okładając razami silnej pięści, zastawszy w sieni zgromadzonych nad piwem. Kazał się natychmiast do podróży sposobić.

Przyjaciele, którzy go widzieli przez te dni wesołym i rozochoconym, nie mogli odgadnąć, co się z nim stało. On sam nie przyznał się im do niczego.

— Nie mamy już tu co robić! — rzekł — a w domu jest co poczynąć. Jutro — na koń!

Do dnia wyciągnęli wielkopolanie, nie opowiedziawszy się nikomu, tak, że wielu potem znajomych do pustej gospody się dowiadywało.

Borkowicz zwycięzko wprost ciągnął do Poznania, nie obawiając się ani Wierzbęty, ani innych, krórych znał sobie nieźyczliwymi.

Przybyło mu buty jeszcze od ostatniego królewskiego wyroku, a gdy go towarzysze po drodze ostrzegali, aby ostrożnym był, śmiał się na głos wywołując.

— Z królem tym ja uczynię co zechcę! Zna on siłę moją... Do walki za stary... będzie wołał Wielkopolski się wyrzec, niż ze wszystkimi ziemianami o nią się rozbijać — a ja teraz mieć będę ich wszystkich!

W Poznaniu zawczasu się go spodziewano, bo z Krakowa doszły wieści, że król Borkowiczowi wielkorządy miał zdać i wszystko zwierzyć.

Co było mniej śmiałych nieprzyjaciół, przycichło i usunęło się — Wierzbęta patrzył zdala. On jeden nie zmienił ani przekonania, ani pozbył swej nieufności. Borkowicz, chociaż się nań odgrażał po cichu, po świeżej sprawie z Beńkiem zaczepiać nie śmiał. Wiedział że nastraszyć nie potrafi, a nowego gwałtu popełniać nie chciał tak rychło.

— Poczeka on — ale nie straci na tem, mru-
czał. Znajdę go później, gdy tylko zechcę.

Tak samo jak w Koźminie, rozłożył się przy-
były w Poznaniu, otwierając dom i ugaszczając
ziemian, którzy się do niego jeszcze skwapliwiej
cisnęli.

Nadjechał brat z Czacza, przybył syn na
powitanie zwycięzcy...

Z Jaśka, który odwagi nie miał towarzyszyć
mu do Krakowa, niemiłosiernie się wyśmiewać
począł i nierychło mu to przebaczył.

Śmielszy niż przedtem, głośno ziemianom
mówił, iż potrzeba, aby stara Wielkopolska nie
dała się jak garść mąki na upieczenie placka
zgnieść, i w nową Polskę Kaźmirzową, jak pod-
bita Ruś, wcielić. .

— My swoje prawa mamy, obyczaj dawny,
odrębność, i przy tem stać musimy!!.

Potakiwali mu wszyscy, bo im w to grał, że
ziemianie od króla więcej znaczyć powinni, oni,
co sobie książąt i panów wybierali dawniej,
i zrzucali.

Czas upływał na tych zbiorowiskach. Borko-
wicz się na coś oczekiwać zdawał, dni rachował,
mówił, że z Krakowa posła się z ważną wiado-
mością spodziewa...

Co mu ztamtąd przywieźć miano, nie mó-
wił nikomu...

Upłynęło dni czternaście, a owo pacholę, zrę-

czne chłopię, zwane Chwałkiem, które Maciek zostawił w Krakowie, nie powracało. Chwałek nie był starszy nad lat dwadzieścia, ale jak ogień żwawy, przenikający, zręczny, a Borkowicz mu zwierzał często takie sprawy, na które niejednen stary by się nie ważył.

Codzień pytał o Chwałka, codzień się go spodziewano, nie przybywał. Piętnastego dnia wreszcie Chwałek nadbiegł. Koń mu w drodze zakulał. Ledwie z niego zsiadł, kazano mu iść do starosty.

Czekał nań we drzwiach Borkowicz.

— Coś przyniósł? — zapytał, wpatrując się w posłańca.

— Wróciłem z próżnemi rękami — odparł Chwałek. — Do baby mnie nie dopuszczono. Izby jej teraz straż pilnuje, wejść lada komu nie wolno.

— I dałeś się jak mucha odegnąć? — wrzasnął Borkowicz.

— Za się! nie! — rzekł rażno chłopak, rozniewany, że go o takie niedołęztwo posądzono. Było rozkazanie ze starą się rozmówić i odpowiedź przynieść, tom się o nią starać musiał.

Nie puścili mnie drzwiami, wdrapałem się do okna i pótym stukał, aż wyjrzeć musiała. Powiedziałem jej com zaczął i tyłem wskórał, że mnie natychmiast precz ze zamku wyżeniono... Wrótny mi zapowiedział, że się do wieży dostanę, jeśli tam jeszcze nos pokażę.

Opowiadania tego słuchając, Borkowicz bladł, zęby zacisnął i zgrzytnął niemi. Chwałkowi pięścią pogroził i krzyknął.

— Precz...

Nazajutrz wyszedł do swoich panów ziemian jakby innym człowiekiem. Widać w nim było przez noc wezbrany gniew i zapamiętałość wielką.

W rozmowie u biesiady codziennej nie o Wielkopolsce i jej prawach mówić począł, ale się z króla uragać.

Tym nawet, co do jego śmiałych przechwałek byli nawykli, wydało się dziwnem, iż pomiarkowania nie miał żadnego.

— Król to żydowski i chłopski! niedarmo go tak zwać, począł na głos... Nas ziemian nie lubi, tak, jak my jego... A no, zobaczemy, czy gdy całe rycerstwo przeciwko niemu się podniesie, chłopci go, żydzi i ziemianie obronią.

Mało kto odważył się nawet głową mu potakiwać. Borkowicz mówił, jakby w sobie utrzymać nie zdołał, co mu dopiekało.

— Królowę sobie też dobrał, jakiej był wart. Jam ci ją znał i ścisnął, nim królowi ją daro... Podniósł rękę do góry.

— Na świadectwo mam oto ten pierścień na palcu... Dała mi go na pamięć, żeśmy się z nią kochali, gdy już była ziswatana... A nie inny pierścień jest, tylko ten, co go od króla miała...

Słuchający osłupieli. Mówiono wprawdzie o sto-

sunkach jego na dworze szlążkim, ale tak jawne przechwalanie się wszystkim usta zamknęło.

— Oj! królowa! królowa! — dodał, wychylając kubek Borkowicz — niech nam będzie zdrowa! I po ślubie przecie nie zapomniała o mnie, bom u niej w sypialni bywał .. jako mnie żywego widzicie!

Kilkadzieśiat osób słuchało powieści, nazajutrz ją z ust do ust powtarzano.

Mienia się ludzie.

Stara Konradowa, która dosyć płocha, wesolą a łatwą znała Jadwigę księżniczką, królową jej poznać nie mogła.

Z koroną razem, włożoną na skronie — dostojność, powaga, rozum przybyły. Życie nie płynęło jej wesoło, — nie chmurzyła się niem zbyt.

Król dla młodej żony ani złym, ani dobrym nie był. Czuła, że serce jego gdzieindziej mieszkało, nie skarżyła się.

Patrzała nań jakby z miłosierdziem, oczyma śmiałemi tak, że często przed jej wzrokiem Kaźmirz musiał uchodzić. Nadto czytała w jego duszy.

Dni kilka czasem król się u niej nie pokazywał, powiadano, że na łowach był, słyszała od drugich, że odpoczywał w Łobzowie.

Nie spytała go nigdy, ani się użaliła.

Cieżarem mu być nie chciała.

Zbliżył się do niej, nie okazywała żalu, ale nie kłamała czułości zbytnej. Chłód męża dumę z niej wywoływał. Była piękną, młodą i widziała się godną przywiązania — żebrać go nie chciała. Zdało się jej może, iż ono przyjąć musi samo.

Niekiedy król z ciekawością się w nią wpa-trywał, badał chłodno — lecz zbliżyć się więcej nie zdawał skłonny.

Była jakby obawa jakaś w nim... Chociaż na jednym zamku mieszkali, gdy Kaźmirz mógł sprawami pilnemi się wytłumaczyć, niekiedy po dni kilka ani przychodził do królowej, ni ją widywał.

Naówczas młoda pani zasiadała do krosien i—szyła, lub kapelanowi rozkazując sobie czytać pobożną księgę jaką, słuchała.

— Zkąd się jej te obyczaje wzięły? — mru-czała Konradowa. — Ktoby to powiedział, że z niej taka będzie królowa?

Jednego poranku zdziwił się mocno król, gdy mu Kochan przyszedł oznajmić, że królowa do-prasza się z nim rozmowy. Pierwszy się to raz trafiało. Kaźmirz zadumał się, usiłując odgadnąć, czegooby żądać mogła niewiasta, która mu się dotąd nigdy nie narzucała?

Spodziewał się prośby lub skargi... Dnia tego

niebardzo był rad rozmawiać. Do wyjazdu wszystko było gotowem.

Estera, która niedawno drugim synem obdarzyła pana swego, słabą jeszcze była, król widzieć ją pragnął.

Wysłał więc Kochana do Jadwigi z tem, że jeśliby sobie czego życzyła, lub żalić na co chciała, mogła to posłowi zwierzyć.

Gdy Rawa przyniósł odpowiedź króla, Jadwiga, która ubrana czekała — oczyma go zmierzyla chłodno i rzekła.

— Jeśli król czasu nie ma, czekać mogę, nie chcę mu być przeszkodą; lecz sama z nim mówić muszę. Powiedźcie mu to odemnie.

Nie okazała najmniejszej niecierpliwości, chociaż strój zdradzał, że się Kaźmirza widzieć spodziewała. Już przez wrodzoną niewieścią zalotność, już dla tego, że niczem innem zajmować się nie mogła, królowa codzień lubiła się przystrajać bogato i wdzięcznie. Tych dni, gdy króla się mogła spodziewać, ubiór jej bywał najstaranniejszy. Dobierała szaty i klejnoty, lubować się zdawała w piękności swej. To jedno jej z dawnych, młodszych czasów pozostało.

Po wyjściu Kochana, królowa westchnąwszy, zwolna klejnoty, w które się przystroiła, zdejmować zaczęła, gdy pacholę nadbiegło, o królu znać dając.

Zarumieniona Jadwiga, włożyła na palce

zrzucone pierścienie, spojrzała w małe zwierciadło, i krokiem wolnym wyszła do swej komnaty gościnnej, do której w tejże chwili Kaźmirz, w stroju myśliwskim drugimi drzwiami szybkim krokiem wchodził.

Skłoniła się nisko królowa, nie zbliżając nazbyt.

— Chcieliście mówić ze mną? — zapytał król.

— Tak jest — głosem trochę drżącym odpowiedziała królowa. — Potrzebuję mówić... Posłuchajcie mnie, a jeśli słusznem uznacie, weźcie stronę moją.

Rumieńcem oblała się twarz jej młoda. Król wpatrywał się w nią pilno.

— Milczałam, dopókim mogła — dodała zwolna Jadwiga — dziś moje i wasze dostojęństwo dłużej nie pozwala.

Coraz bardziej zdziwiony król słuchał z uwagą natężoną.

— Dni temu parę — rzekła z wysiłkiem męznym królowa — na zgromadzeniu wielkiem, na głos, jawnie przechwalał się ten, któremu wy życie darowaliście, że mnie dziewczyną znał, że mnie miłował, kłamał, że go miłowała — śmiał rzec, że po ślubie, tu — w zamku był w sypialni mojej.

Pobladł król i krokiem się cofnął, twarz mu się zmieniła dziwnie, straszno. Nie był to już zobojętniały ów człowiek, któremu nudne życie

obrzydło, ale monarcha obrażony na cześć — groźny.

— Posłuchaj mnie—ciągnęła dalej; ośmielając się królowa. — Bywał Borkowicz na dworze naszym, widywałam go chętnie, przekupił sługi, aby się ze mną na osobności widywać. Byłam młodą, niedoświadczoną, a sługi miałam niegodziwe.. Wkradłszy się do mnie raz ostatni, gwałtem mi wasz pierścion z palca ściągnął. Wina jest moją, że nie krzyczała naówczas i śmiałka ukarać nie dała.

Tym pierścieniem skradzionym się on przechwala... Boga biorę na świadka — dodała królowa — że nadto nie miał odemnie więcej nic, nawet słowa dobrego. Gardzę nim. Zuchwalec czasu wesela naszego wdarł się do izby ochmistrzyni i był na progu mej sypialni. Precz go wypędziłam...

Tu królowej głosu na chwilę zabrakło.

— Zeznaję to jak na spowiedzi, i gotowam poprzysiądz — dodała. — Domagam się ukarania tego człowieka... tem bardziej, tem usilniej—że...

Zamilkła i twarz nowym się rumieńcem okryła.

— Że spodziewam się być matką, i ani na mnie, ni na dziecięciu cień nawet potwarzy nie powinien powstać!!.

W przerwach mowy, gdyż kilkakroć uczucie wezbrane siły jej odbierało, król się nie odzywał, nie dał po sobie znaku żadnego, jak przyjmuje

to zeznanie. Błędym był i oczy jego ciskały pioruny... Odgadnąć było trudno, na kogo one wymierzone były, na obwinionego czy na niewinną a mężną królowę,

Spojrzała nań nieśmiało i odezwała się po chwili malej.

— Co mówię, sprawdzić możecie...

Dlatego precz nie odeгнаła starej Konradowej, która była pomocnicą niegodziwego człeka, aby mi na świadectwo stanąć mogła... Badać ją każcie... wyzna. Winną nie jestem... Człek ten tak zuchwałym był, iż mi pochwyconym pierścieniem grożąc, domagał się — tajemnego widzenia ze mną, precz go odeгнаć kazałam.

Czyńcie co przysłało!!.

To mówiąc, królowa, która stała dotąd, zachwiała się jak wysilona, obejrzała się, szukając siedzenia, a król pospieszył, podając jej rękę, doprowadzić do blizkiego krzesła.

Niepowiedział słowa jeszcze...

— Człowiek ten zginać musi — wyjęknął wreszcie otwierając usta zaciśnięte — i zginie śmiercią taką, by dziesiąte pokolenie ją pamiętało, a wiedziało, jak ma królewski majestat szanować...

Oczy królowej podniosły się ku niemu, spotkała wzrok, jakiego nie widziała nigdy i nie znała. Król był sędzią nieubłagany, czuła, że na

łaskę jego, na miłosierdzie — rachować nie mógł winowajca...

— Prawdęm wyznała! dodała cicho... na moją obronę więcej słowa nie mam...

— I obrony nie potrzebujecie wcale — odparł król z zimną powagą. Słowo wasze starczy mi. Prawdę w niem czuję — winy nie ma...

Mówiąc, król odstąpił kroków kilka zadumany.

— Śmiercią zginie okrutną potwarca — dodał. Przebaczyłem mu mordy i gwałty — oskarżano go o zdradę, niewierzyłem. Urósł dobrodziejstwy mojemi... padnie zgnieciony jak nędzny robak, którego stopą moją wbiję do ziemi...

Widząc królowę zbladłą i drżącą, Kaźmirz przybliżył się do niej, i ujął ją za rękę.

— Proszę was, dla zdrowia i spokoju, abyscie się o los tego nędznika nie dowiadawali. Rzeczcie sobie, że go już nie ma na świecie.

Pomszczoną będziesz jak być powinna królowa, na którą nikczemnik śmiał się porwać...

Słabym głosem dokończył król, i w dłonie uderzył, aby służbę do na wpół omdlałej przywołać.

Dopiero gdy stara Konradowa przełęknioma pokazała się na progu, Kaźmirz z przymuszonym na ustach uśmiechem zwolna wyszedł z komnaty...

Ci, co go spotkali po drodze, spostrzegli, że coś się stać musiało nadzwyczajnego. Rzadko widywano Kaźmirza, który powagą chłodną w naj-

cięższych wypadkach utrzymać umiał, zmienionym tak jawnie, i tak straszno. Często właśnie pod martwym wyrazem twarzy szukano w nim wzruszenia, teraz ono było tak uderzającym, wyraz oczów tak groźnym, iż wszyscy pierzchali przed nim...

Konie do wyjazdu stały w przedsieniu, Łowczy i Podkomorzy czekali przy nich, Kaźmirz skinął, aby je odprowadzono.

Ponieważ szedł od królowej, domysłano się, iż ona gniew jego na siebie obudzić musiała.

Nie znając przyczyny która wywołała nie skrywany ten gniew Kaźmirza, wszyscy, co go znali, widzieli, że strasznego coś zaszło pomiędzy małżeństwem, nikt nieśmiało ani pytać, ani się nawet zbliżyć do pana, którego oblicze pałało a ręce drżały... Jeden Rawa, widząc go powracającym do swych izb i konie odesłane do stajen, pospieszył pytać czy sukni zmienić nie zechce.

Zastał króla siedzącego w krześle przy stole i pogrążonego w myślach głęboko. Nie widział, go tak zmienionym nigdy, bo zwykł był trzymać uczucia na wodzy.

Zobaczywszy Rawę, król jakby się obudził— chciał coś mówić, zatrzymał się — zamilkł, wstał przeszedł, siadł znowu.

— Sędziego mi powołać każ, rzekł krótko...

Sędzią Krakowskim, który z ramienia i rady ks. Suchywilka na ten urząd wyznaczony został,

był Mikołaj Doliwczyk, którego za młodu przewano Ślepcem, dlatego, że krótki wzrok mając, oczy przymrużał i z blizka wszystkiemu przypatrywać musiał.

Człowiek był w prawie biegły, niegdyś do stanu duchownego przeznaczony — zimny, obojętny, i całą duszą oddany powołaniu — bezzenny i bezdietny, nadzwyczaj skąpy — zdawał się mieć dwa w życiu cele — zostać najuczeńszym z prawników i najmajętniejszym z Doliwów.

Ani dobry, ni zły — co tylko mógł poprzeć jakimś kodeksem, przykładem, statutem, jakąś uchwałą, prawem zwyczajowem—to mu się zdawało usprawiedliwionem. Pojęcie prawa dla niego całe było w giętkości jego i zastosowaniu do potrzeb chwili; zasadzał rozum na tem, aby umieć zawsze znaleźć to w zasobach nauki, czego mu było potrzeba.

Sama powierzchowność człowieka odstręczająca była. Nie patrzył w oczy nikomu, chodził z powagą wielką, nie poruszał się niczem oprócz— sprawą majątności własnej, nie przyjaźnił z nikim— nie kochał nikogo. Wrażał bojaźń we wszystkich, bo znano zasadę jego, że prawo było przeznaczone do powściągnięcia i karania ludzi.

Względem panującego, którego jako najwyższego sędziego, nad wszelkie prawo pisane i zwyczajowe mającego większą władzę — szanował, Mikołaj był zawsze najposłuszniejszym z narzędzi.

Ks. Suchywilk cenił go dla wielkiej pamięci, erudycyi i — nieskazitelności jego. Jakkolwiek bowiem lubił grosz i kapitał, niktby nawet nie śmiał pomyśleć o zyskaniu go lub przekupieniu..

Życie, które Sędzia prowadził, było zastosowane do charakteru. Na godzinę oznaczoną zjawiał się w sądzie, nikomu nie przebacząc opieszłości — nielitościwie dosiadywał do końca — i jeśli go urzędowe czynności nie wzywały nigdzie, zamykał się potem w domu nad księgami. Nikt go nigdy nie widział na żadnej biesiedzie, przy żadnym stole, ale tam, gdzie miejsce dla sędziego, był niemiłsiernym także.

Na zamku odbywały się właśnie sądy, gdy Mikołajowi znać dano, że król pilno go wzywał. Król? — to znaczyło, że wszystko porzucić natychmiast musiał i biedz posłuszny...

W chwili odprawił strony, które sprawę swą wywodziły — i pospieszył do komnat pańskich.

Zastał Kaźmirza jeszcze nieostyglęgo...

— Sprawa jest — rzekł król po namyśle — w której ja obrażonym i dotkniętym jestem na czeć mojej, a ta cześć moja, to cześć korony i królestwa!! Sędzią być wahać się, bom razem stroną... a muszę!!

Błysnęły oczy Kaźmirzowi...

— Słuchaj, rzekł — na co zasłużył człek, potwarca i kłamca, który na sławę i spokój pana swojego nastaje... chlubi się...

Król był tak poruszony, iż mówić przestał na chwilę.

Ślepiec stał namarszczony, chciwy posłyszenia, o co chodziło.

Nie mogąc doczekać rychło reszty mowy królewskiej, odezwał się głosem suchym pedagoga.

— Obraza majestatu królewskiego, choćby tylko przedsięwzięta, a nie spełniona, jest obrazą Boga, którego pomazańcem i zastępcą jest każdy monarcha na ziemi. Kara główna... śmierć!!

— To mało! — zawołał król uderzając o stół ręką.

— Rodzaj śmierci może monarcha sam naznaczyć... wedle stopnia winy, — rzekł sędzia.

— Wina większą być nie może nad popełnioną przez tego złoczyncę, — odparł Kaźmirz. — Obsypałem go dobrodziejstwami, przebaczyłem mu wielekroć. Świeżo przekonanemu o zabójstwo darowałem życie.

— Maciek Borkowicz? — spytał cicho Ślepiec.

— Imieniem tem ohydne ust sobie kalać nie chcę... — podnosząc głos począł król.

Stało się milczenie na chwilę.

Sędzia z oczyma wlepionymi w podłogę, zamysłony, ważył co powiedzieć miał. — Król czekał.

— Pomnij, — wtrącił, — że nietylko zdrajcą go dziś uznaję, czemu niedawno wierzyć nie chciałem, lecz... na królowej cześć potwarz śmiał rzu-

cić!.. Na niewiastę, na ukoronowaną małżonkę naszą!..

Sama ona ze łzami i skargą na niego przyszła do mnie... Dowodów nie potrzebuję, obrona niemożliwa, вина jawna!

Sędzia myślał.

— Gdyby gardło dał... małooby było, — rzekł. Pod pręgierzem język mu kłamliwy wyrwać kat powinien i kara taka jak na ojcobójców, jak na świętokradców... Większej nie znamy.

Wzdrygnął się król i zadumał. Gniew zwolna następował, wrodzona mu dobroć brała górę.

— Chciałem sumienie moje mieć przez was objaśnione, — odezwał się, — dosyć mi na tem... Przebaczyć mi niepodobna, przykładn potrzeba... Zginać powinien...

— Zginać jako ojcobójca — powtórzył sędzia z pryciskiem. — Zaszyty w wór, razem z węzłem, kotem...

Król dał znak ręką, że więcej słyszeć nie chciał. Myśl jakaś przeszła mu śnać po głowie.

— Dziękuję wam — rzekł, odpowiadając sędziego. — Zachowajcie przy sobie, coście słyszeli odemnie. Milczenie nakazuję. Nie chcę, by złoczyńca, zasłyszawszy zawczasu co go czeka, uszedł od słusznej zemsty mojej do swych przyjaciół Brandeburgów, do moich nieprzyjaciół Krzyżaków.

Szybko zwrócił się król ku drzwiom drugim.

— Kochan! — zawołał, głos podnosząc, pewien, że blisko być musi.

Rawa stał już w progu, gdy Ślepiec schylony do ziemi pokłonem, wysuwał się drugimi drzwiami.

Zobaczywszy go, Kaźmirz się przeszedł po izbie milczący, jakby chciał sobie dać czas z gniewu ochłonać.

— Maciek Borkowicz jest przezemnie na śmierć skazany — rzekł stając. — Potwarca śmiał się przechwalać łaskami królowej, skradzionym jej pierścieniem, usiłował wedrzeć się do sypialni jej.

Spojrzenie na Rawę wstrzymało dalsze słowa. Kochan twarzą swą i ruchami dawał znać, że o wszystkim tem był zawiadomiony.

— Mów — przerwał król.

— Dawno tego zbója na świecie już być nie powinno — odparł Kochan. — Wart najśrodszej kary... ale miłosierdzie wasze.

— Będę niemiłosierny, srogi, okrutny — zawołał król. — Wiesz wszystko?

— Wiedziałem wiele, domyślałem się wszystkiego — rzekł Kochan.

— I milczałeś? — z wyrzutem oburzenia spytał Kaźmirz.

— Czekałem sposobnej chwili.

Wejrzenie dziwne, podejrzliwe, rzucił król na ulubieńca.

— Pomnisz Baryczkę? — rzekł nagle. — Za twoją sprawę, za tę śmierć, której ja nie naka-

zywałem, której nie chciałem — za twą samowolę Kochan! — Cierpiałem i milczałem... Ocaliłem ci życie — nie zapierając się...

Pomnisz to? — Dziś powinienes za to odpokutować.

Kochan zdziwiony podniósł głowę. Nie pojmował, jaki związek dwie te sprawy z sobą mieć mogły. Król po małym przestanku mówił dalej.

— Tak — za karę, żeś śmiał być katem samowoluie, dziś ja cię katem czynię nad Borkowiczem. Daję ci moc... Rób co chcesz... Powinienes mu wziąć życie... Wieszaj go, ścinaj, rwij na sztuki... to rzecz twa... ale mi się nie staw na oczy, póki on żyw chodzi po świecie... Głowę mi jego przynieść musisz...

Kochan, który się najmniej podobnego polecenia spodziewał — stał jak osłupiały. Tłumaczyć się nie było sposobu, ani wypraszać.

Rozkaz stanowczy, nieodwołalny, z jednej strony był dlań zaszczytnym, z drugiej trudnym i przykrym.

Wiedział Kochan, iż zadanie łatwem nie było, że złoczyńca silny, przebiegły, zuchwały, w obrobie życia mógł się do ostateczności posunąć. Znaczyło posłannictwo to — że życie swe stać musiał.

Wspomnienie Baryczki czyniło przykrzejszym

rozkaz króla, który milczał długo, a winy nie zapomniał.

Kochan głowę zwiesił.

— Słyszałeś — powtórzył król — idź, wybieraj się w drogę. Spiesz, aby ci nie zbiegł... Jeżeli uciecze, biegnij za nim. Życie nie powinien. Jako znak jego śmierci, przyniesiesz mi pierścień królowej — skradziony, porwany siłą.

Milcz — jedź, i nie daj mi czekać na spełnienie rozkazu.

Rawa chciał coś przemówić — lecz spojrzawszy na króla, nie ważył się — głowę pochylił i wyszedł.

Na zamku zawsze jeszcze tajemnicą było czemu króla gniew został wywołany. Przywołanie sędziego, potem Kochana, odprawa jego nagła, rozkazy wydane pocztowi do drogi, posłanie po kanclerza, który list królewski otwarty dla Rawy miał sporządzić, wszystko to razem do najwyższego stopnia obudziło ciekawość dworu.

Królowa po wyjściu Kaźmirza, zamknięta, płakała.

Trwoga jakiegoś wypadku tajonego a straszego ogarniała wszystkich. Nie doświadczano srogości króla, ale czuli to otaczający go, że w gniewie mógł się do nieubłaganego posunąć okrucieństwa.

Drżało wszystko.

W godzinę potem wiedział już Wierzynek, iż

coś zaszło na dworze, uwiadomionym był ks. Suchywilk, który do króla pospieszył, nawykłym będąc, iż go do rady w ważniejszych sprawach powoływał.

Gdy nadszedł powiernik, król już w znacznej części z pierwszego gniewu ochłonął, lecz jak po ogniu gorycze dymu pozostają w powietrzu, tak po nim została w duszy Kaźmirza żółć i boleść.

Miarkując się, spokojnym być starając, opowiedział ks. Janowi sprawę swoją, kończąc krótko nieodwołalnym śmierci wyrokiem.

Ks. Suchywilk nie śmiał przemawiać za winowajcą.

— Śmierci jest godzien—rzekł — lecz miłość wasza, karząc go, dasz rozgłos sprawie niemiłej... którą ciemności i milczenie na wieki pogrzebać powinny...

— Któż będzie śmiał usta otworzyć po spełnieniu wyroku? — odparł Kaźmirz.

Ks. Suchywilk zamilkł.

Król nsiedzieć w miejscu nie mogąc, przecha-dzał się ciągle.

— Otoż macie przykład tego, czem jest ry-cerstwo moje, czem dla mnie ziemianie, którzy podporą tronu być powinni — odezwał się z go-ryczą. — Rzucają mi w oczy jak zbrodnię, że chłopów umiłował, że żydom daję opiekę, że mieszczan bronię!! Na Boga! zaprawdę tak czy-nię to, bo u tamtych pokrzywdzonych, uciśnio-

nych czuję, że mam miłość, u ziemian za dobrodziejstwa odbieram niewdzięczność i zdradę!! Tak ci jest! Nie taję. Jednych podnieść pragnę, drugich okiełznać... Sprawiedliwa rzecz, i winy za nią przed Bogiem nie będę mieć.

Uczuł się ks. Suchywilk, jako dziecię ziemian, jako rycerstwa potomek, dotkniętym.

— Miłościwy panie, rzekł — dla jednej owcy parszywej stada całego potępiać się nie godzi.

— Gdyby jedna tylko w niem była! rozśmiał się król. Wiem ja i czuję, na kogo rachować, kogo się obawiać muszę...

Któż, jeśli nie ziemianie, zmusili mnie niemal do tak wczesnego przekazania korony siostrzeńcowi, który im złote obiecuje góry?

Król westchnął, i zwracając się do Suchywilka dodał ciszej.

— Bóg jeden wie, co przyszłość gotuje, królowa przy nadziei.

Ks. Jan skłonił się winszując i ręce składając do modlitwy.

— Daj Bóg, by nam dziedzica tronu na świat wydał! rzekł cicho.

— I w takiej to chwili, złoczyńca ten — wybuchnął król z gniewem wznowionym — śmiał na nią potwarz rzucić, aby plamą skaził kolebkę mojego następcy...

Kapłan zmuszony był pocieszać i uśmierzać króla, pozostał przy nim długo i nie odszedł, aż

go zobaczył ułagodzonym i spokojnym. Przyczyniało się do tego, że sprawę pomsty czei swej powierzył Kochanowi, którego znał dla siebie wierność, przywiązanie, odwagę i przebiegłość.

Wybór ten i ks. Suchywilk pochwalił: trudno było o lepszy.

Wyszedłszy od króla, uczuł potrzebę widzenia się z Rawą, który pomimo największego pośpiechu wyjechać jeszcze nie miał czasu. — W mieszkaniu królewskiego ulubieńca panował nieład największy.

Służba zwijała się, ściągając rzeczy, gotując oręż, wiążąc sakwy... Dworzanie napływali jedni żegnać, drudzy wybadać i coś się dowiedzieć od niego. Kochan opowiadał fałszywie, że do Pragi był wysłanym... Nie chciał, aby cel podróży odgadywano. Dziwnem się musiało wszystkim wydawać, że najdobrańszych, najśmielszych, najsilniejszych brał do boku towarzyszków. — W spokojnej Pradze postawnych i okazałych mógł potrzebować tylko.

Ujrzawszy w progu ks. Jana, Kochan wybiegł na spotkanie dostojnego przyjaciela królewskiego i szedł z nim na osobność do przyległej komory...

Nie potrzebował nawet dopytywać się o to, że on o wszystkim był zawiadomiony...

— Ciężar na was spadł wielki — odezwał się ks. Suchywilk...

— Nie ludzę się — żywo odpowiedział Kochan — głowę swą niosę, idąc ją wziąć temu warchołowi, lecz pan rzekł...

Zamyślił się nieco i dodał.

— Tak, życie mu wziąć — to nic — ale potrzeba go ukarać jak zasłużył i przykład dać na nim zdrajcom a zuchwalcom co się na majestat pana targać śmieją.

Muszę być okrutnym — będę nim

— Nie nad miarę — rzekł zwolna ks. Suchywilk. Srogość kary każe się większej winy domyslać...

— Większą być nie mogła — żywo przerwał Kochan. Wiem więcej, niż królowi powiedziano... Zdradę knuje, pani naszej sromotę uczynić chciał a przechwalał się jej łaską... Małoż tego?

Książd popatrzał nań z natężeniem i powagą.

— Ukarz, rzekł — a nie mścij się, zemsta dowodzi, że ciężko się czuł obrażonym. Majestat króla zbyt wysoko stoi, aby go jeden nikczemnik mógł dosięgnąć.

Rozumne te słowa, które Kochan milczeniem przyjął — nie uczyniły na nim wrażenia, jakie zrobić były powinny. Miał już zbyt silne postanowienie okazania się okrutnym.

Miłość dla króla, gniew pana, którego był świadkiem, czyniły go tak, jak osobiście dotkniętym.

Lecz nie dosyć było powiedzieć sobie: — ukarzę, pomszczę. — Kochan wiedział, że porywał się

na zadanie trudne, które tylko z nadzwyczajnem pospiechem i odwagą wielką mógł spełnić. — Potrzeba było dniem i nocą biedz za Mackiem Borkowiczem, nimby wieść do niego doszła, co mu grozi...

Szczęściem tajemnica, choć w połowie niewiastom zwierzona, uchowała się i na dworze nie nie odgadnięto, a Maciek, uzuchwalony ostatnią swą bytnością w Krakowie, wcale nie przeczuwał, iż słowa jego, nierozważnie rzucone, tak się odbiją daleko i prędko..

Szydził z niedoleżności króla, a tym, co go do większego pomiarkowania i ostrożności skłaniali, odpowiadał grubiańskimi szyderstwami...

Z Poznania, w którym przebywał czas dość długi — właśnie gdy Kochan, mający go ścigać, z Krakowa wyruszał — Borkowicz z dosyć licznym przyjaciół poczem udał się do Kalisza.

Ciągnęło go tam coś, z czego, mimo gadatliwości swej, spowiadać się nie chciał. Miał jakieś nadzieje, że kasztelan kaliski i mała załoga, jaka na zamku była — zdadzą mu gród, lub że przynajmniej upewni się o łatwe jego opanowanie. Ztąd on chciał rozpocząć otwartą wojnę przeciw królowi, pochlebiając sobie, że mu Wielkopolskę z pomocą Brandeburgów oderwie...

Na pochwylenie Poznania od razu kusić się nie mógł jeszcze, od Kalisza chcąc rozpocząć.

Wysłańcy jego, którzy dawno tam krążyli,

przynieśli mu dosyć dobre wieści. Kasztelan na króla się gniewał i odgrażał, siła na zamku była nie wielka...

W najlepszej więc nadziei — ze skromnym poczem, bo mu nigdzie nic nie groziło, jechał Maciek Borkowicz do Kalisza tak, jakby się wybrał na przejażdżkę. — Przyjmowano go wszędzie jako przyszłego pana, ngaszczając we dworach, wyjeżdżając przeciwko niemu i zapraszając w goście...

Rosło znaczenie i moc, a z niemi zuchwalstwo człowieka zaślepionego...

Pochlebcy go wbijali w dumę...

Ochoczo więc i wesoło tocząc się tak ku Kaliszowi w którym zawczasu gospody sobie upatrzyć kazał, przybył Borkowicz do miasta na-przód i nimby na zamek się dostał, po podróży wypoczywał...

Drugi już dzień upływał od przybycia Maćka Borkowicza do Kalisza, a z gospody jeszcze nie wyruszył ani do zamku, ani na miasto...

Nie można było odgadnąć, czy mu się tu nie wiodło po myśli, czy jeszcze swych zabiegów nie rozpoczął, znajdował się tu wcale inaczej niż w Poznaniu, niż w podróży, jak gdyby to, co przedsiębrał, wielkich wymagało ostrożności.

Po drodze już część tłumnego dworu i orszaku swego zostawił w majątności znajomego ziemianina. Sam przybył tu z niewielu ludźmi, cicho, nie rozkładając się nazbyt szeroko. Brata Jaśka ani syna z sobą nie miał, kilku wyrostkami się posługiwał, chodził zasępiony, jakby to, na co się teraz ważył, nawet jemu wydawało się niebezpiecznem.

Po przybyciu nazajutrz posłał się dowiedzieć o Kasztelana. Nie było go w Kaliszu, siedział w majątności swej o mil parę, zapowiadano powrót jego. Na zamku dowodził stary wojak, niejaki Wilczura, który tak samo jak Borkowicz do szczytu Napiwonów należał.

W tych czasach szczyt jeden, choćby najbardziej rozrodzony, stanowił jeszcze jedną rodzinę, nawet gdy członkowie jego z różnych się majątności pisali. Czy Wilczura przyjęty był dawniej do zawołania tego, on lub rodzic, czy w istocie ze krwi Napiwonów pochodził—nie wiedział Borkowicz, ale w starym żołnierzu widział pobratyma.

Możny pan ubogiego rycerza, który całe życie w żelaznej koszuli przesłużył i pamiętał sławne boje Łoktkowe, a jak inne rycerstwo króla tego w bogactwo się nie wzbił—mało sobie szacował

Lecz, co dziwniejsza, Wilczura, wojak prosty, który krom swego rzemiosła niewiele znał świata—owego strasznego i potężnego Borkowicza niewiele też ważył.

Chciał się doń dawniej zbliżyć Borkowicz i wabił go sobie, ale stary mu kazał powiedzieć, że jeśli poznać się z nim życzy, aby sam pierwszy doń przybył.

Teraz Maciek go sobie ująć potrzebował koniecznie. Nazajutrz więc po przyjeździe swym posłał pierwszego dworzanina do niego z prośbą, aby przyszedł z niem chleb przełamać.

Wrócił poseł z tem, iż Wilczura go zbył znowu hardo, że czasu nie ma, stary jest, a jeśli łaska, Borkowicza u siebie na zamku z chlebem czeka.

Chleb ten starych wojaków nadto znał Maciek, aby mu się go kosztować zachciało.

Wprawdzie nie wykwinna była własna jego kuchnia, lecz nawet w drodze na zwierzynie, na omaście i na nabiale nie zbywało, i Borkowicz jeść lubiący, żarłoczny, na strawę zamkową nie był łasy.

Przeczuł on to, co w istocie było, że Wilczura jadł toż samo co jego ludzie, łada jaki mięsa kawał, chleb czarny i polewkę z krupami, często stęchłemi.

Zagniewał się w początku ua tego pokrewnego, naburczał, wreszcie u siebie podjadłszy, na zamek samotrzeć konno ruszył.

Zamczysko było położeniem warowne, ale go jeszcze dotąd ręka Kaźmirzowa nie tknęła, nie odrodził się z muru jak innych wiele; broniły go

wały, ostrokoły, przekopy, a we wnętrzu murów mało co było, więcej szop i szalasów.

Nie było na co spojrzeć, tak zameczysko nędznie wyglądało, a przecie się krzyżakom kilkakroć oprzeć mogło.

Nie czyniono około niego dotąd nic, właśnie może dla tego, iż wkrótce nań kolej przyjść miała, gdy cały z muru wznieść się był powinien.

Wilczura, dowodzący załogą, mieszkał w izbie poczerniałej od dymu, ledwie ławy i stół mającej, a tokowisko miasto podłogi. Tuż była łaźnia, od której buchająca para małe wejście zasłaniała.

Gdy Borkowicz, wjechawszy w podwórze butnie i głośno o Wilczurę dopytywać zaczął, w progu izby z za pary łaźiebnej ukazała mu się postać, w której trudno się było dowódcy domyśleć, chociaż nią była.

Człek słusznego bardzo wzrostu, chudy, kościsty, z szyją długą, łysy, z brodą postrzyżoną, siwą, policzki zapadłemi, stał, w boki się ująwszy, w kaftanie i spodniach skórzanych, w skorzniach grubych, w narzuconej na ramiona oponczy zszarzonej.

Stał, słuchał, patrzył i milczał, dopiero gdy srogiego hałasu narobił Maciek, huknął głosem ogromnym:

— A czegoż od dowódcy chcecie?

Borkowicz tedy, domyślając się kto był, z konia zsiadł i ku niemu szedł z wesołą twarzą, powiadając,

iż pobratyma poznać pragnął. Sam mu się jako starosta wielkopolski mianował.

Na Wilczurze ani przyjazd, ni wspaniała postawa, ni nazwisko i godność przybyłego nie zdawały się czynić najmniejszego wrażenia.

Sklonił nieco głowy i rzekł.

— Rad jestem — panu bratu, a że innej izby na zamku nie mam, jeno tę, wskazał ręką na drzwi — do niej proszę.

Rad nie rad w niskich drzwiach karku ugiąwszy, Maciek musiał wniknąć. Do wielkich zbytków nie był nawykły, wszelako ta komora ciemna, w której resztki dymu, ostatki strawy, dziegieć, smołę i tłustość czuć było, zarzucona żelaztmem i skórami — nie bardzo mu się podobała.

Na ławie wąskiej a twardej, nie pokrytej niczem siadłszy, u stołu, na którym bułka chleba i nóż żelazny, a na miseczce bryłka soli leżała, Borkowicz sapnął i zamruczał coś — lecz nie rzekł nic.

Wilczura, posadziwszy go sam stał, nimby sobie miejsce znalazł.

— Cieszę się nie mało, że nareszcie was poznaję — począł Maciek, bośmy to jednego szczytu oba. Dawnom chciał się do was zbliżyć, aleście wy do mnie nie chcieli...

Słuchał Wilczura.

— Była temu przyczyna, i niejedna — ode-

zwał się stary wojak... Naprzód ta, żeście wy Napiwon możny, a jam Napiwon ubogi...

Gdy się biedny do bogatego zbliża, daje myśleć, że od niego chce czegoś, a ja od nikogo nie żądam. Potem, jam żołnierz, w jarzmie żelaznem chodzę, czasu nie mam. Patrzę tego, z czego chleb jem.

— A! no! rozśmiał się Borkowicz—wnosząc z tego chlewa w którym wam król mieszkać każe, i chleb być musi ościsty...

— Pewnie, ale taki żołnierzowi przystał—odparł stary, zębów on nie łamie, a do lepszego przywyklszy, coby na wojnie robił, gdzie i o ten trudno?

— Ale wam, coście postarzeli pod zbroją, jużby czas też i odpocząć? rzekł Maciek.

Wilczura potrząsł głową.

— Nie. Człowiek, choć stary, coś robić musi; cóżbym ja począł, gdy nic nie umiem innego, krom jak się zbroją chędoży i konia siodła?

To mówiąc poufale siadł na przeciw starosty Wilczura na siodle wysokiem, które blisko znalazł...

Starosta bądź co bądź, dla swego dostojenstwa, sławy, bogactw, spodziewał się od niego większego poszanowania, lecz, potrzebując człowieka, zniósł lekceważenie.

— Pierwszego was widzę — odezwał się, co się nie skarży na swój los... i innego nie pragnie.

Wilczura się uśmiechnął.

— I na to jest przyczyna, rzekł, żony nie miałem, dzieci nie mam, sam do tego chleba nawykłem — na co mi więcej i inaczej??

— A jakże tu u was na zamku? odezwał się Maciek — mnie się widzi lichy sklecony... król coś o nim zapomniał.

— Bo ma pilniejsze do opatrzenia — przerwał Wilczura — a te kletki, jak je widzicie, niepozorne, woda i ziemia broni dobrze i lepiej niż drugie mury...

Mało to jest ludzi, dodał stary, co niepocześnie wyglądają, a przecie coś są warci. Tak i zamek nasz!

Uśmiechnął się.

— Przyjdzie kolej i na niego, gdy Bóg królowi życie przedłuży, to go kamiennym uczyni jak inne.

Nie wiodło się Borkowiczowi, który dwakroć o króla zczepiwszy, odprawę dostał, począł więc z innej beczki, o sobie, o tem, co on dla Wielkopolski czynić zamierzał... a potem jakby był rad krewniakowi usłużyć czemś — i lepsze obmyśleć zajęcie.

Wilczura słuchał obojętnie, lecz ująć się niczem za serce nie dawał. Do takiego oporu nie był nawykłym Maciek, naposiadł się więc, nieżalując czasu, Wilczurę sobie pozyskać. Przyjął od niego piwsko kwaśne, rozgadał się szeroko,

starego do mówienia wyciągał i słuchał — odjeżdżać nazad do gospody ani myślał.

Kiedy się to na zamku działo, a dwaj dworzanie, przybyli z Maćkiem, w podworcę pozostawszy, nie mając co czynić, chodzili po zamku, ciekawie się w nim rozpatrując — na mieście zaszło coś, co nagle położenie zupełnie zmienić miało.

Kochanowi Rawie zawsze i prawie we wszystkim szczęście służyło — tak mu się też z trudnem tem ujęciem warchoła powiodło. Z Krakowa wyruszywszy, dniem i nocą pędził Kochan do Poznania. Nie dojechawszy tu dowiedział się przypadkiem o wyjeździe Maćka do Kalisza. Natychmiast za nim zawrócił.

Po drodze, śledząc siły przeciwnika — Kochan z wielką radością swą przekonał się, iż poczet, towarzyszący staroście, był mały, a w Kaliszu ludzi przy nim zostać miało niewiele.

Tu wprost ku gospodzie mu wskazanej dążąc, w rynku dopytał znowu Rawa, iż dziwnem losu zrządzeniem Borkowicz właśnie przed chwilą samotrzeć do zamku pojechał.

Szczęśliwszego wypadku ani mógł żądać, ni się spodziewać Rawa. Chociaż konie i ludzi miał pomęczonych, musiał natychmiast do zamku zawrócić. Drugi raz się tak złożyć nie mogło, by Maćka samotrzeć, i to w zawartem miejscu, chwycić.

Jak szalony popędził Kochan ku wrotom i na-

przód swojemi ludźmi je obsadził. Zaczynali się, widząc to, zbiegać żołnierze, wypadł z wrót drugi pułkownik, który był pod rozkazami Wilczury, lecz temu Rawa, rozkaz pod pieczęcią królewską pokazawszy, milczeć polecił...

Chciano Wilczury wolać, na co Kochan się zgodził, ale nie wprzód, ażby wszystko co potrzeba, było przygotowanem.

Dwaj dworzanie Maćka, posłyszawszy u wrót wrzawę, powoli szli się o nią dowiadywać, gdy Rawa ich postrzegłszy, wnet pochwycić kazal, związać i zakneblować, aby wrzawy nie czynili. Stało się to tak szybko i łatwo, bo się wcale nie spodziewali tego co ich spotkało, że żaden z nich nawet krzyknąć czasu nie miał.

Zwijal się Rawa jak szalony, miecza dobywszy i od wrót nie odstępując...

Chociaż wielkiego halasu nie było na zamku — przecież ucho czujne Wilczury coś pochwyciło. Borkowicz uparcie na ławie dosiadywał, musiał więc dowódzca niespokojny wyprosić mu się aby zobaczyć co w jego grodzie pokój zakłóciło...

Maciek sam pozostał na swej ławie, kwaśny jak to piwo, które pić musiał. Trwał w miejscu, bo się zawsze spodziewał ująć sobie Wilczurę.

Ten zaledwie w podwórze wyszedł, Rawa poskoczył ku niemu z królewskim rozkazem.

Oslupiał Wilczura — lecz, na krótką chwilę. W dwóch słowach Kochan objaśnił mu wszystko.

Wahać się i namyslać nie było można. Stary żołnierz uśmiechnął się tylko, widząc jak opatrzność boska złoczyńcę do łapki wpędziła — dając go w ręce sprawiedliwości.

Chociaż Borkowicz sam jeden był, a ludzi wiele czekało nań, Kochan nadto go znał, by mógł pomyśleć, że się podda nie broniąc... Trzeba się było gotować do zajadłej z nim walki.

Wilczura, zamiast do izby swej powracać, kazał sobie żołnierską zbroję przynieść i miecz. Ludzie petle i powrozy przygotowali, i Kochan stał korda dobywszy, też.

Naradzano się, jak go z izby wykurzyć.

Tymczasem ludzie się u wnijsia ustawili kołem, aby nie uszedł na wały, z których mógł do wody się rzucić...

Po oddaleniu się Wilczury siedział Borkowicz z początku spokojnie, dumając i oczekując powrotu jego.— Wrzawa przytłumiona w podworcu wcale go nie obchodziła, nie domyślał się nic wcale.

Gdy wreszcie dowódzca nazbyt długo nie powracał, a to odejście jego za ubliżające sobie począł Maciek uważać, wstał z ławy, jeszcze się nic więcej nie dorozumiewając oprócz grubiaństwa Napiwona...

Klął gbura... Miał—li nań czekać, czy wyniść i jechać precz obrażony?

Wilczury mu przecież potrzeba było koniecznie, nie rozpaczał jeszcze, że go zjedna...

Musiał więc w izbie śmierdzącej, w zaduchu — czas jakiś jeszcze z pędzić. Siadł mrucząc.

Wilczury jak nie było widać tak nie było. — Borkowicz z nudy nasłuchiwać począł.

Co się na zamku działo, nie mógł zrozumieć. Słyszał wyraźnie szepty, stąpanie szybkie, tłumne, bieganie około ścian, stłumionemi głosy wydawane rozkazy...

Lecz i teraz jeszcze nie przeszło mu przez głowę, by się to jego tyczeć miało...

On, co marzył o panowaniu tutaj!!.

Trwało oczekiwanie dobrego czasu, gdy naostatkiem, djablem wykławszy niegościnnego Napiwona, Borkowicz kołpak nałożył — i do drzwi kroczył.

Drzwi, jak mówiliśmy, były niskie, a para z łaźni wprost ku nim buchała. Maciek otwierając je, schylić się musiał i za obłokiem pary nie dojrzeć nie mógł, oprócz, że siła do koła ludzi stało...

Głowy jeszcze zgiętej we drzwiach nie miał czasu rozprostować, gdy niewolnik Tatarzyn, który na zamku do posług był używany i konie na arkany łapał tak zręcznie, iż mu żaden nie uszedł — postawiony umyślnie z boku, na szyję staroście pętlę cisnął.

Niespodziewający się niczego Maciek na ziemię padł, ryk wydawszy z piersi, jak dzika

bestja. Wnet też całą siłą, a miał ogromną, podniósł się, rzucił, targnął, i byłby pętlę zerwał może, gdyby wnet ludzi kilku nie przypadło i nie obaliło go, na kark mu i na ramiona siadłszy.

Borkowicz rękami miecza sięgał, gdy mu je w tył porwano i krępować zaczęto. Drudzy nogi już, któremi wierzgał broniąc się, wiązali.

Pomimo przewagi ludzi tylu, starosta długo się rzucał, targał i rycząc bronił jako mógł, w ostatku zębami chwytając co napadł, tak, że jednemu z wiążących go, kawał ucha ugryzł.

Próżny to był wysiłek — po krótkiej chwili leżał obalony zbój, sznurami cały spowity, a Kochan z papierem królewskim stał nad nim.

Cizba się ogromna zbiegła z zamku całego na to widowisko, a że wszyscy niem zajęci byli, nie zważano na to, że niespokojny o pana, starszy dworzanin Maćka wpadł dowiadywać się o niego na zamek i — ujrzawszy załedwie co się działo, ponieważ wrót już nie strzeżono, zbiegł zaraz do miasta.

Kochan tymczasem w obec świadków wyrok królewski leżącemu czytał, skazujący go na śmierć.

Kara jak na ojcobójców wymieniona w nim była.

Piorun ten, który padł na człowieka uzuchwalonego szczęściem właśnie w chwili, gdy się zwycięstwem przechwalał i roił nowe zamachy—

innego byłby ubił może... Borkowicza tylko wściekłym uczynił.

Oczy mu zakrwawione zdawały się na wierzch wycodzić, twarz siniała, żyły nabrzmiały, piana okrywała usta, związany wypreżał się tak, iż sznury niektóre porwał i nowemi go krępować musiano, nie prosił jednak litości, ani rycząc, rzekł co innego, nad przekleństwa okrutne.

Jak gdyby tego, w czyjej był mocy, okrutniejszym chciał uczynić — zamiast go błagać — Borkowicz bezcześcił Kochana i łajał najsromotniejszymi wyrazami.

Ale Rawa w tej chwili tak był szczęśliwy, iż trudnego dzieła z nadzwyczajną łatwością dokonał — iż przekleństwa i obelgi śmiejąc się znosił.

Niektóre z nich utkwily w jego pamięci i sercu, choć nie dawał poznać tego po sobie, bo ludzi było dosyć przytomnych.

Przeczytawszy mu wyrok i rozkaz królewski, Borkowicza do izby na dole w zamku dał zawlec, więzów nie tylko nie złżywszy mn, ale mocniej jeszcze dla bezpieczeństwa skrępowawszy. Dwudziestu ludzi z załogi postawiono na straży, pod gardłem im zagroziwszy, aby na chwilę więźnia z oka nie spuszczaali i nikomu się do niego zbliżać nie dopuszczali.

Kochan na chwilę ustąpić musiał aby spocząć, gdyż na nogach ze znużenia ledwie się mógł utrzymać.

Z zamku natychmiast oddział wysłano silny, aby ludzi Borkowicza zagarnął i wszystko, co przy nich było, gdyż całe mienie zdrajcy i majątności nadane mu przez króla na skarb miały być zabrane.

Wysłani wszakże, gdy do gospody przybiegli, już w niej nie znaleźli nikogo, porozrzucaną tylko słomę, siano i jeden wóz pusty z kołem złamanem. Borkowicza ludzie wszyscy się rozbiegli, pochwyciwszy co kto mógł.

Nie chciał Kochan, z obawy rodziny i przyjaciół Borkowicza, ani w Kaliszu trzymać na zamku, ani go tu karać, gdyż i rodzaju śmierci nie postanowił był, i chciał o to stać do Krakowa. Wprawdzie król zostawił mu wolę tak z nim postąpić, jak sam chciał, byle życie postradał śmiercią okrutną i trwogę obudzającą, lecz Rawa na siebie za nią odpowiedzialności brać nie chciał.

Pamiętał, iż z ust króla wyrwało się, gdy go odprawiał:

— Żadnego miłosierdzia nad nim, ani względu na urząd i ród... Bydlę to, niech jak bydlęta ginie...

Śmierć ta bydlęca, jaką być mogła, Rawa nie umiał odgadnąć, a wprost leć mu uciąć kaźć — za mało było...

Wieść o ujęciu Borkowicza i wyroku na nie-

go piorunem się rozeszła po okolicy. Roznieśli ją zbiegli ludzie jego.

Tejże nocy, nieopodal znajdujący się brat dowiedział się o tem, a że mu w wielu napaściach i gwałtach posilkował i podobnego obawiał się losu—natychmiast pośpieszył na naradę z synem, chcąc z nim razem, zabrawszy trochę ludzi i grosza, przerzucić się za granicę.

Kochanowi z Kalisza pilno było — lecz i on, i towarzysze jego, i konie ze znużenia padały, musiano więc spoczywać.

Tymczasem brat Maćka i syn znieśli się z sobą. Jaśko uchodzić chciał, aby pomścić brata, syn ratować, odbijać, wykupić pragnął i — zdawało mu się to możliwem. Nie słuchając rady stryja, gnał co najprędzej do Kalisza, gotów za ojcem i do Olkusza pędzić, póki by go żywym wiedział.

Przybywszy do miasta — nie tracąc chwili, choć wiedział, że to go życie kosztować może, młody Borkowicz wpadł na zamek. Do ojca chciał — nie puszczono go.

Wrzawa wywołała Kochana, który miał czas ochłonąć — stał więc z krwią zimną naprzeciw młodego, który z gniewu, złości i żalu ledwie mógł mówić. Ojcowska duma nie opuściła dziecka... Uniżyć się i prosić nie umiał — począł od napaści i wyrzutów... od pogroźek... Chciał

do króla jechać, czynił Kochana odpowiedzialnym za życie ojca...

Trudno go było zrozumieć, tak wszystko się w mowie jego mieszało bezładnie... Rawa przywiązaniem dziecka tłumacząc to sobie — słuchał dosyć obojętnie.

— Posłany jestem z ramienia króla — odparł zimno — uczynię to, co mi rozkazano. Ani postrachem, ani błaganie nic ze mną nie uczynicie. Mamli radzić, bo mi waszej młodości żał — uchodźcie, pókiście wolni.

Niepodobna było krzyczącego i rzucającego się pozbyć inaczej, tylko go gwałtem z zamku wyganiając. A że nowych najść lękał się Kochan, natychmiast wóz sposobić kazał, rzucono weń Borkowicza, przywiązując do desek, ludzie straż trzymający posiadali do koła, otoczono żołnierzem silnie uzbrojonym, sam Kochan na koń siadł i ruszył do Olkusza.

Tu z Krakowa miał wyglądać odpowiedzi — jaką śmiercią król go ukarać każe.

Na zamku Olkuskim bezpieczniej czekać z nim było, a przyjaciołom Maćka nie łatwo się tam dostać.

Nie tajno było Kochanowi, że Maciek, oprócz brata i syna, prócz tych, którzy ze strachu do niego lgnęli — miał wielu w Wielkopolsce skojarzonych i przyjaznych, którzy się mścić mogli.

W Olkuszu, dokąd naprzód dano znać — zna-

laż u wrót Rawa przestraszonego Burgrabiego zamkowego, który więźnia królewskiego pilnować i odpowiadać zań, wiedząc kto był — wypraszał się. Przynosił klucze, stawał pod rozkazy Kochana—ale sam od wszystkiego się wymawiał tem, że ani straży dosyć, ani izb zamczystych nie miał.

Postawiono w podwórceu wóz, nimby Kochan obmyślił, gdzie Borkowicza umieścić.

Czasu drogi mógł się przekonać towarzysząc mu, iż Maciek bynajmniej nadziei wyrwania się z więzów nie rzucił. Nocami leżąc na wozie, gryzł i rozrywał sznury, straż usiłował obietnicami wielkimi przekupywać, miotał się, na chwilę nie ustając krzyczeć i odgrażać się.

Na zamku olkuskim w istocie nie było zamknięcia bezpiecznego dla człowieka, do którego się mogli usiłować dostać brat, syn lub przyjaciele.

Burgrabia, którego Morawcem zwano, naostattek powiódł Kochana ku wieży północnej. Ta była na więzienie dla najniebezpieczniejszych złoczyńców umyślnie zbudowaną. Drugie tyle, ile jej wyżyna nad ziemią wyrosła, w głąb było obmurowanego lochu, do którego po drabinie schodzić musiano. Sklep bez okien miał jeden ten tylko otwór w górze, który drzwiami żelaznemi się zamykał. Ciemny, wilgotny, głęboki i wązki jak studnia, służył dotąd tylko dwu zbójom, których z niego na rusztowanie wyciągnięto, po mie-

sięcznym pobycie, już prawie ledwie żywych. Był to grób, w którym śmierć przychodziła powolnie, w męczarniach nocy, chłodu, zgnilizny...

Morawiec jedną tę jamę znajdował dla zamknięcia Borkowicza bezpieczną; a Kochan spojrzawszy w nią, zgodził się, aby do niej spuszczano złoczyńcę. Chciał z nim doczekać tu ostatniej królewskiej woli. Morawiec tylko za tę studnię chciał ręczyć, iż z niej się więzień nie dobędzie i nikt do niego dostać nie może.

Litości nie miał nikt nad nielitościwym.

Tymczasem, nim od króla otrzymał wolę jego, Kochan na smutnym, pustym, więziennym zamku osiąść musiał.

Borkowicza, mimo oporu, spuszczone na dno, rozcięto mu więzy i rzucono garść słomy. Morawiec natychmiast drabinę kazał wyciągnąć, drzwi zamknął i straż u góry postawił.

Dziesięć dni czasu upłynęło, nim odpowiedź nadeszła z Krakowa. Tam skargi na Borkowicza, dowody zdrady, opowiadania o okrucieństwach popełnianych przez niego płynęły tak liczne, tak obarczające, a znalazło się tylu domagających jak najsroźszej kary, iż wyrok przywieziony brzmiał... głodem go umorzyć.

Razem z nim, główny wróg Borkowicza, Nałęcz, Gruszą zwany, któremu on żonę zbezczeszczył i o śmierć przyprawił, nadbiegł, dobrowolnie się

ofiarując za oprawcę. Miał ustne pozwolenie króla tak z nim postąpić, jako chciał.

Jego to sprawą było, iż Maćkowi do lochu wiązkę siana spuszczone jak bydlęciu i miarkę wody. Grusza sam siadł u drzwi jamy i czatował na jęki skazanego, napawając się niemi.

Zgroza przejmowała wszystkich, bo choć zbrodnie i winy były niezliczone i wielkie, kara się wydawała nieludzką.

W sile wieku, Borkowicz męczył się dłużej, niżeli sam wróg jego się spodziewał. Pił wodę, gryzł suche siano, być bardzo może, iż, gdy Grusza spał, ludzie przez litość chleb mu rzucali — dość, że tydzień i dwa upłynęły, a na dzień studni jęk, ryk i przekleństwa słychać było. -

Grusza wołał czasami nai, Borkowicz mu urąganiem i obelgami odpowiadał — jedli się tak słowy, dopóki znużony Nałęcz drzwi nie spuścił. i nie położył się na nich. Następnego dnia słuchał, zawsze spodziewając się, iż śmierć go od katowania tego uwolni; lecz Borkowicz żył i żył.

Głos jego tylko, z początku silny, słabnął, chrypl i stawał się coraz niewyraźniejszym.

Grusza, gdy czwartego tygodnia nie słyszał już nie tylko sapanie i mruczenie, spuszczał na sznurach pochodnię, aby zobaczyć, co się działo ze skazanym.

Stan jego był okropnym, lecz serca mściwego nie zmiękcył.

Opadła z niego przegniła i poszarpana odzież, ciało okryte było ranami, twarz straszliwie zmieniona. Z głodu pokąsał sobie ręce. Wstać już i ruszyć się nie mógł, leżał na barłogu zmoczoną wilgocią, ohydnie skalanym... dysząc ostatkiem życia, a o litość nie prosząc... Wiedział pewnie, iż Grusza jej mieć nie będzie.

Kto wie, jaka nadzieja może do ostatka mu męczarnie te osładzała?.. W piątym tygodniu Nałęcz, gdy pochodnię spuścić kazał na dno, ujrzał wroga swego tak jak martwym, z głową w słomę wciśniętą, nieporuszonym, ale dyszącym jeszcze.

Spuścił się sam po drabinie, chcąc przekonać, czy wiele w nim życia zostało jeszcze.

Gdy nad nim stanął Nałęcz i kopnął go nogą, znędzniały ten trup żywy, poruszył się, podniósł głowę z wolna, wlepił w niego oczy zaszele już bielmem śmierci i wyjąknął:

— Księdza!

— Tobie? księdza? abyś piekła, które ci należy, uniknął? Giń marnie jakieś żył... giń bez pociechy i przebaczenia.

Grusza domawiał tych słów, gdy wpatrzywszy się w twarz Borkowicza, nagle strwożony, umiął.

Mimo woli jego, mimo wiedzy litość schwyłała za serce...

Nie rzekł nic i drżący, jak pijany na drabinę się wdrapał...

Siadł u góry i płakać zaczął...

Posłał po księdza...

Gdy kapłan, który zszedł do lochu, po krótkim w nim pobycie dobył się na światło dzienne — osłabłym był tak widokiem męczarni i powietrzem, którem oddychać musiał, iż go podtrzymać trzeba było, aby nie padł...

Czterdzieści dni konając tak Maciek Borkowicz, po spowiedzi odbytej — słowa już nie rzekłszy — skonął...

Taki był koniec człowieka, którego wspomnienie długo potem na zamku Olkuskim jak straszna baśń z prastarych wieków pozostało...

KSIEGA ÓSMA.



Król chłopów.

Dzień był wiosenny, ale wiosna roku tego tak smutną była, jak jesień, co ją poprzedziła...

W całym królestwie Kaźmirzowem i sąsiednich krajach, jakby zagniewanego Boga prawica, odjęła ludziom co życie utrzymać miało...

Pola zasiane nie okryły się kłosami, łąki żółkły wypalone, powodzie, grady, sloty i skwary na przemiany do ostatniego kłoska zniszczyły...

Błady głód, wiodąc mór z sobą, do chat zaglądał... Ludzie żywili się zielem, korą drzew, wszystkim, co przez zeschłe gorączką usta przejść mogło, często śmierć, chorobę, szaleństwo przynosząc.

Wsie całe stały pustkami, a mieszkańcy ich rozbiegali się, szukając, choćby najcięższej pracy, choćby niewoli, byle męczarni i śmierci uniknąć...

Leżały na gościńcach niepogrzebione trupy, na wpół przez zwierza pożarte, przez kruki po-targane... zgnilizną zatrutą napelniając powietrze...

W miasteczkach, do których ciągnęli wynędz-nieni wieśniacy, szerzył się mór, który przywo-zili z sobą.

Rozpacz rozpasywała oszalałych.

Nikt bezpiecznym nie był, bo dla kawałka chleba suchego zabijali się bracia, gromady na-padały na dwory, odbijano spichrze, mordowano po gościńcach podróżnych...

Trwoga ogarniała i tych, co jeszcze chleb mieli, aby im go z życiem nie wydarto, unosili je możniejsi, chroniąc się za granicę... Ziemia-nie do miast się chronili. Lecz i znaczniejsze grody drżały o siebie... Mór już do nich głó-dowy zaglądał, rozprzęgło się wszystko, gawieź mruczała i jęczała...

Po kościołach napróżno zanoszono modły do Boga, który znękanym ulitować się nie chciał...

W tym to roku, po strasznej zimie, której tysiące padło ofiarą, gromady bladych i wynędz-niałych widać było zbiegające się około Bochni i Krakowa... Inne, na odgłos królewskiego mi-łosierdzia, szły trzebić gościńce, budować zamki...

Spichrze pańskie stały dla nich otworem...

Pod Bochnią, którą kanał poczęty miał z Kra-kowem połączyć... pomiędzy tłumami robotni-ków zdaleka przywlekającemi się, wśród tych

ludzi odartych i nędznych, których połowa spo-
czywała u ognisk... na koniu okrytym szkarła-
tną oponą widać było w małym poczie stoją-
cego męża, nie pierwszej młodości, którego włos
piękny, ciemny i bujny, gdzieniegdzie srebrem
się zasiewał...

Był to król...

Sam on chciał widzieć i pracę ludu, który
kochał, i płacę, którą mu ze skarbu wyznaczył.
Szły na to i zapasy pańskie i nagromadzone bo-
gactwa...

Rycerstwo i ziemianie szemrali znowu... Za-
miast karmić głodnych kmieci, czemu Kaźmirz
im nie chciał do utrzymania ich na gruntach po-
magać!

Tym, co się doń zgłaszali, odpowiadał pan,
iż zasoby mieć byli powinni, zdawna gospodarząc,
a lud z roku na rok biednie przeżywający, czy-
nić ich nie mógł, słuszną więc była ratować tych,
co ratować się sami nie mogli...

— Sprzedajcie klejnoty — mówił Kaźmirz —
zbądźcie to, co do zbytku służy, ja też gotów
jestem do ofiary, ale dla tych, którym oprócz
mnie, nikt nie wyciągnie ręki.

A dając kmieciom, nie upodłę ich jałmużną...
niech idą pracować, aby gościńce wodne i łą-
dowe otworzyli dla handlu i życia. Tak głód się
nawet przyda królestwu temu.

Urażony na króla jeden z ziemian krakow-

skich, nawykły zdawna szemrać przeciwko niemu... zadawał mu na głos, iż ziemiaństwu i rycerzom ginać daje, a czerń nędzną żywi.

— Prawdę rzekł — odparł król — bo z czerni tej, gdy przyjdzie zamożność i światło, łatwo uczynię ziemian i rycerzy, a z nich, gdy rąk zabraknie do roli, co żywi, do rzemiosła, które trzyma, do handlu, który bogaci, nie wydobędę nic...

Na tak jawną wzgardę, okazywaną stanowi, który się głównym a pierwszym na tej ziemi mniemał — odpowiadano cicho owem przewiśkiem — król chłopów...

Każmirz nim być chciał i z tem się nie tail.

— Nietylko królem, ojcem bym dla nich być chciał, gdy drudzy im braćmi być nie raczą, choć Chrystusowe na to mają przykazanie...

Tysiące łopat pracowało około kanału, który z Krakowa do Bochni kopano, zwijały się tłumy jak mrówię, pod wodzą postanowionej starszyny. Ład był w tych gromadach, jakoby w wojsku, które ciągnie na nieprzyjaciela. Z białeni łaskami prowadzili dziesiętnicy i setnicy dobrane pułki. Nad brzegami kopanicy stały szalasy i budy, gdyby wsie na prędce sklecone... król i piece dla chleba i łaźnie dla zdrowia, i szopy od słoty chroniące kazał powznosić.

Stał tu teraz i patrzył na lud swój, a serce mu rosło i radowało się. O wielu troskach zapo-

minał, wiele przebytych chwil ciężkich płaciła ta godzina... Usta mu się uśmiechały, a oko, chodząc po tłumach, dumalo... Kiedy niekiedy z gromady bliższej, głową mu się jak znajomy poklonił człek jaki, który pamiętał, że z królem mawiał, a król go też sobie przypominał. Czasem wyszedł odarty człek i z tą poufałością dziecka, które wie, iż mu rodzic źle nie życzy, zbliżał się powoli do króla.

A przykazanem było, aby nigdy nikt nie śmiał bronić ubogim przystępu do niego.

I teraz właśnie, gdy król, wysunawszy się naprzód przed orszak swój, na pracujących spoglądał, ojcowskiem ich zagrzewając okiem, dorodny, ale wynędzniały mężczyzna, łopatę swą w ziemię utkwivszy, wolnym krokiem zbliżać się począł do Kaźmirza. Król patrzył nań z uwagą wielką, usiłując go sobie przypomnieć a poznać nie mogąc...

Rysy twarzy przypominały mu, się jakby całkiem obcemi nie były, lecz — lud ma pokrewne lica i bratersko wygląda cały.

Mężczyzna był silny, zbudowany jak dziecię plemienia, którego niemowlęta słabsze, do trudów życia nie dość wyposażone, umierają w kolebce, a ci tylko na zimnie i głodzie rosną, którzy do walki są zbrojni.

I ten człek wiele przecierpieć musiał i zwyciężyć, widać to na nim było. Prawem tem, które

dziwnem się zdaje a jest rzeczywistem, cierpienie zahamowało go, nie wyczerpało. Widać było, że wiele jeszcze znieść potrafi dla tego, iż przebolewał już wiele.

Z oczów wpadłych głęboko patrzył smutek ostygły, rezygnacja męztwa wielkiego. Wyżółkły, wybladły, wyschły, przed czasem zestarzały, — silnym był jeszcze... Zapracowane ręce nie drgały znużeniem, głowę niósł wysoko, plecu mu wiek nie przygniótł, trzymał się, prosty jak sosna... Odzież miał lichą, wyszarzaną, połataną, koszulę zgrzebną i grubą, skórnie korą lipową poitykane, siermięgę dziurawą, czapkę od słoty wyblakłą — lecz w tem nędznem ubraniu, tak szedł przed króla śmiało i pańsko, jak gdyby jedwabiami i złotogłowy był okryty.

Król stał na koniu — chłop przystąpił i do nogi się pochylił. — Podniósł potem wejrzenie smutne ku panu.

— Z czem że to przychodzisz? — spytał Kaźmirz łagodnie.

— Z pokłonem, z pokłonem — odparł wieśniak wpatrując się w pana. — Dawnom ja nie widział króla mojego, a dobrze zapamiętał!

Westchnął, mówiąc to.

— Wszak ci to biedne ojczyisko moje to szczęście miało, żeście u niego w chacie gościli, a macierz i siostra posługiwały wam... Lepsze

czasy były... Przyjąć choćby pana czem się znalazło — a dziś.

— Toś ty z Prądnika? — zapytał Kaźmirz, przypominając sobie Wiaducha.

— A tak! miłościwy panie... ale dziś mnie i moich już tam nie ma — rzekł powoli wieśniak... Ojca... zabił Neorża, gdy z Wiślicy powracał, macierzy się zmarło... i mnie się nie wiodło... Przyszło choróbsko i wymiotło mi chałupę... zostałem sam...

Spuścił głowę.

— Nieurodzaj, głód... bydło i chudoba wypadły, spaliła się chata... nie było co w niej robić, poszedłem w świat. Nie zlitował się nikt nademną, do króla się dostać z bolem i skargą nie mogłem... Już myślałem, że mi gdzie pod płotem przyjdzie kończyć, kiedy nas do roboty zawołali. Poszedłem z łopatą! Niech wam Bóg płaci, panie nasz; gdybyście nie zlitowali się nad nami, nie ja jeden, ale tysiące by nas jak muchy popadało...

Słuchał król westchnieniami przerywanej mowy, milczący i zadumany.

— Złeś uczynił — rzekł — żeś nie przyszedł do mnie zawczasu... Jadłem wasz chleb, byłbym go ci obmyślił...

Chłop głową potrząsł.

Swobodną miał mowę jak ojciec.

— Choćbyście chcieli — odparł powoli z u-

śmiecchem smutnym — nie moglibyście wszystkiej biedzie ludzkiej zaradzić. Nie jam jeden był bez chleba. A na zamek, za rycerstwem, dworem i pany nie docisnąłby się człek biedny...

— Wicie, że u mnie dla was drzwi otwarte — zawołał Kaźmirz.

— A no, strażę przy nich stać muszą — poczał wieśniak — siermięgi połatanęj nie puszcza...

— Cóż z gruntem i chatą się stało? — spytał król.

— Chalupa spłonęła, grunt zajałowiał, Ncorża tam już wsadził jakiegoś przybłądę.

Potrząśł głową.

— Mnie tam już nie powracać — rzekł — ciągleby człek na swych nieboszczyków patrzeć musiał i samby się tym żalem zamorzył...

Za królem stał pisarz, ku któremu się zwrócił Kaźmirz.

— Ziemię ci w królewskiejźnie wyznaczyć każę — odezwał się dając znak pisarzowi, aby go zapamiętał — zgłoś się po nią, a na chudoby także ci z Bochni grosz jaki dadzą...

Śluchał obojętnie dosyć syn Wiaducha...

— Ręk opuszczać nie trzeba — dodał król — starym nie jesteś, pracować możesz...

Ręką ukazał mu pisarza, który skinął, aby się przybliżył. — Ten ci sprawi wedle rozkazu mojego... Nim starość nadejdzie, masz czas jeszcze gniazdo usłać sobie...

Nie nie mówiąc obdarowany, w nogę króla pocałowawszy, ustąpił.

Nie pierwsza to była rozmowa i dobrodziejstwo tego rodzaju, powtarzały się niemal codziennie nadania ziemi i osadzania bezdomnych, a ze skarbu pieniądze datki.

Wszystko to w świadkach, rycerstwie i ziemianach zamiast poszanowania dla króla, coraz większą ku niemu niechęć budziło. Ukaranie Borkowicza, o którego zbrodniach zapomniano, a śmierć straszną pamiętano tylko, szło także na karb niechęci króla ku ziemianom i rycerstwu.

Potwierdzenie Bolesławskiego przywileju żydom, spanoszenie się Wierzynka, który służąc królowi, zebrał skarby, o których cuda prawiono; wszystko to potwierdziło przekonanie, iż Kaźmirzowi szło o poskromienie przewagi tego stanu, który nawykł się był za najznaczniejszy i najdosłojniejszy uważać.

Król czuł to może, lecz nie dał nigdy poznać po sobie, iżby się troszczył o to, co myślą i mówią o nim ludzie jakiegokolwiek bądź stanu...

Szlachta całą już w tem pokładała nadzieję, iż następca Kaźmirza Ludwik dźwignie ją i dawne jej znaczenie przywróci.

Matka domniemanego następcy i on sam w ciągłych byli stosunkach z możniejszymi panami królestwa, których coraz większemi obietnicami ujmowali sobie.

Nadzieje męskiego potomstwa, i tym razem króla zawiodły... Rodziły się córki... Z Rokiczany i Esthery byli synowie, z prawego małżeństwa Bóg nie dał Piastowi potomka...

Korona szła po kądzieli na Węgry...

Król wyrzekł się już marzeń wszelkich, i zamiast syna ze krwi swojej, chciał tylko pozostawić prawa i zakłady, któreby imię jego uwieczniły...

Kraj cały odżywał, zaludniał się, urządzał, zagospodarowywał. — Wznosiły się mury, prostowały drogi, nasypywały spichrze, napępniały skarbee... Tylko po światło musiano jeszcze jeździć za granicę i szukać go u obcych...

Wszystkiego dokonawszy — król własną szkołę wielką chciał mieć w Krakowie — i na Bawole rzucił pierwsze posady tej Akademii, która z jego myśli wyrosnąć miała na matkę — nauczycielkę narodu.

— Umierać mogę teraz spokojny — mówił do ks. Suchywilka z łagodnym uśmiechem i z dumą człowieka który cel życia osiągnął. Ani głodu, ani nieprzyjaciela, ni ciemnoty i barbarzyństwa, ani niesprawiedliwości kraj mój obawiać się nie powinien. Sam sobie i światłem i sądem starczyć może, nie sięgając po prawa i naukę do obcych.

Ziarno rzucone, Bóg ześle na nie rolę i słońce.

— Miłościwy królu — odpowiadał Suchywilk — uczyniliście wiele, ale żyć wam potrzeba dla

nas, aby to, coście zasadzili, urosło, wkorzeniło się, a pierwsza burza młodych latorośli nie obalila.

Było to ostatnich dni września roku 1370. Jesień już przejmowała chłodem, przymrozki ścisnęły ziemię, niebo szaremi osłonięte oponami— rzadko promieniom słońca dawało się przecisnąć.

Innych lat pora ta roku przynosiła z sobą wesele — stodoły były pełne, po wsiach kojażyły się wesela, myśliwi ciągnęli w lasy za zwierzem na zimę przyodzianem, po miastach przygrywały muzyki i wypełniały się gospody... W tym roku niepokój jakiś ogarniał wszystkich, lękano się czegoś — pomorku, głodu znova czy wojny? Nikt powiedzieć nie umiał... Na ludziach ciążyło jakiejś klęski przeczucie...

W Krakowie tęskniono za królem... Dawno go tu już nie było. Wybrał się oglądać swe zamki i ziemie swoje, naznaczać gdzie jeszcze nowe mury wznosić się miały i nowe karczować gościńce... Objechał był Wielkopolskę, ciągnąć miał potem przez Sieradzkie na południe i zatrzymał się w niedawno dokończonym zamku swoim, w Przedborzu...

Spodziewano się go z powrotem, obiecywano wkrótce... król nie powracał.

Wieczorem ostatnich dni września Mikołaj Wierzynek, spokojnie na ławie siedząc z jednym z panów Rajców rozprawiał, który stał przed nim w postawie pełnej poszanowania, jakie należało temu, co cesarza i królów miał szczęście ugaszczać i obdarzać.

Urośł był pan Wierzynek, herbu Łagoda, na jednego z najznacniejszych w królestwie tym ludzi, tak, jak samo to królestwo za panowania Kaźmirzowego urosło i spotężniało... na jedno z wielkich mocarstw na północy...

W komnacie gorzał piękny ogień na komini, który wieczorne światło zastępował... Ruchomemi jego błyski lśniły się naczynia i sprzęty, których izba ta pełną była.

Najmożniejszy mieszczanin krakowski mógł się otoczyć zbytkiem i iść o lepszą z pierwszymi ziemianami. Nie posiadał może tyle, co oni, ziemi i majątności, ale w skrzyniach jego nagromadzone skarby, starczyły by nie jedne pańskie dobra opłacić.

Rozprawiano o sprawach miasta, które urosłemu z jego handlu, w jego łonie Wierzynekowi, na sercu zawsze były... I ono też za tego panowania błogosławionego z nędznego i zniszczonego, mimo morów, głodów i pożarów, wzniosło się i zabudowało wspaniale. Katedra na Wawelu świeciła dachami kruszcowemi, licznych kościołów wieże podnosiły się ku niebu, zamek rozro-

snął się, rozszerzył, ozdobił, okrył jakby królewską purpurą. Poznałby go dziś Łoktek, który na gruzy popiołem okryte wjechał tu niegdyś, ledwie izbę dla siebie i żony na schronienie znalazłszy?

Nagle, wśród spokojnej rozmowy, Wierzyńka ucho uderzył tentent konia, który się u wrót kamienicy jego zatrzymał.

Nie było w tem zaiste nic niezwyčajnego, przecież drgnął, jakimś przeczuciem tknięty gospodarz, dał znak ręką, zamilkł i pilno ucha nadstawił.

Rajca widząc oczy jego zwrócone na drzwi, które sobą zasłaniał, usunął się od nich zdumiony nieco.

Wkrótce pospieszne kroki, zbliżające się ku nim, usłyszano. Wierzynek też wstał i szedł ku nim skwapliwie.

Otworzyły się one i w stroju podróżnym, płaszczem przyodziany, w butach zbłoconych, Kochan Rawa ukazał się na progu. Towarzyszył on panu swojemu w podróży i wracał z niej, widać było na twarzy jego znużenie wielkie i jakby rozgorączkowanie.

Wierzynek rękę doń wyciągnął z uśmiechem, lecz spojrzawszy na zmienione i smutne lice jego, nie zdołał nawet powitać.

Oczy niespokojne wlepił w Kochana.

— Wraca król? — odezwał się wreszcie do wahającego i oglądającego się po izbie gościa.

— Nie więc dotąd nie wicie?

— Na Boga, cóż wiedzieć mam? mówcie!.. chodźły smutne wieści!..

— Wkrótce to dla nikogo już tajemnicą nie będzie, — zawołał Rawa z westchnieniem ciężkiem. — Nieszczęście się stało! Bóg może nas od większego uchroni...

— Żyw król? — krzyknął łamiąc ręce Wierzynek.

— Żyw Bogu dzięki... lecz, srodze cierpiący...

Kochan, stojący dotąd, rzucił czapkę na stół i padł na blizkie siedzenie; drżał ze znużenia.

— Mówcież, na Boga, co się panu naszemu stało! — zawołał przerażony Wierzynek, — pana naszego, ojca, spotkali nieszczęście jakie? zachorzał?.. nie wierzyliśmy pogłoskom...

Rawa spuścił głowę i potrząsł nią.

— W Przedborzu byliśmy, — rzekł, — na samo Narodzenie N. Panny. Królowi się na łowy wcale nie chciało, choć go na nie namawiano. Nieszczęsny dzień, nieszczęsna godzina... Bogdajby był na te łowy nie jechał.

Kapelan mu odradzał dla uroczystości, on sam ociągał się, znaleźli się doradcy, co go namówili... Jelenia miano gdzieś upatrzonego. Dzień był piękny, konie gotowe, myśliwi niecierpliwi... Król mszy na zamku wysłuchał i siadł na koń.

Wiecie, jak on poluje; kilka czasem miesięcy o lowach nie pomyśli, ani tęskni za niemi, a wybierze się w las, posłyszysz psy, zobaczy drugich goniących za zwierzem, nikomu się wyprzedzić nie da... Tak i w lasach przedborskich było.

Jeleń pomknął przed nim. Puścili się za nim lowcy ze psy i oszczepami, król konia swego pognał w gęstym lesie, gdzie powalów i kłód tyle było, co żywego drzewa. Gналиśmy za nim, ledwie mogąc nadążyć. Jam z oka go nie spuszczał. Nagle znikł mi, jakby się pod nim ziemia zapadła.

Przyskoczyłem przerażony... patrzę, koń na ziemi wyciągnięty i król pod nim z lewą nogą naciśniętą, która na ostrą gałąź padła... Krwią broczy... W chwili zbiegło się nas dosyć do niego, koniaśmy podnieśli, król ledwie się mógł stłuczony i ranny z ziemi podźwignąć...

Lekarze oba, i mistrz Henryk z Kolna, i pan Mateusz z Krakowa, którzy nam towarzyszyli, w Przedborzu na zamku pozostali.

Jako tako chustami obwiązaliśmy ranę, krew płynącą zatamowali. Trzeba było nosze sporządzić, aby go na rękę przenieść, bo na konia się nie mógł.

Śmiał się przecież zrazu i lekce sobie ranę ważył, choć myśmy widzieli zaraz, że szkodliwą była. Po lekarzy pobiegł łowczy, aby naprzeciw pospieszali.

Wiadomość o przypadku jak piorun na wszyst-

kich padła. Przyehodziło teraz na myśl, że kapelan w dzień świąteczny polowanie odradzał... Zapóźno było.

Jeszcześmy do zamku z królem, którego nieść trzeba było zwolna, nie nadążyli, gdy już oba lekarze naprzeciw nas wybiegłszy, stanęli przy panu.

Gdyby z nich jeden był tylko, możeby król już zdrów do tego czasu z łoża powstał.

Westchnął Rawa i wśród milczenia ciągnął dalej.

— Znacie ich obu... mistrza Henryka i pana Macieja. Oba uczeni i pana miłujący, ale z sobą jak pies z kotem. Dość, by jeden z nich powiedział, biało, aby drugi zaraz czarno zawołał.

Mistrz Henryk ma Macieja za nieuka, Maciej Niemca za kuglarza. Jeden wierzy w mądrość z księgi, drugi trzyma, że u ludu tylko tajemnice tego, co zdrowiu pomocne, się przechowały. Mistrz Henryk przyprawia lekarstwa nieustannie, Maciej ziół szuka i naturze wiele zostawuje...

Nigdy się jeszcze na nie nie zgodzili... a dnia nie ma, żeby ząb za ząb nie klócili się z sobą nawet o strawę, którą król żyje...

Ale mistrz Henryk w opatrywaniu ran biegleszy jest, i Maciej nasz ustąpić musiał mu pierwszeństwa.

W ciągu tego opowiadania, przerywanego westchnieniami, Wierzynek i rajca słuchali z o-

znakami przestachu i niecierpliwością, aż pan Miklasz, nie mogąc się przewyciężyć, zawołał:

— Na Boga, trzebaż go było co rychlej tu, do Krakowa, choćby na rękach nieść! Przecie i lekarzy, i dozór, i wszystkoby znalazł, czego mu tak brak, a mybyśmy nań patrzeć i czuwać nad nim mogli.

— A zapewne, i król sam chciał zaraz do Krakowa, na Wawel, — rzekł Rawa, — ale mistrz Henryk nakazał spoczynek. Z rany zaraz się wywiązała gorączka... nocą mówił bezładnie, krzyczał aż strach; a wiecie to, że nie lubi aby go, gdy przez sen czasem co woła, albo i w gorączce, podsłuchiowano.

Wierzynek i Rawa dali sobie znak oczyma. Wiadomem to było, iż Kaźmirz przez sen często jęczał, przypominając Amadejowe proroctwo.

— Musieliśmy — mówił dalej po przestanku Rawa — z Przedborza, gdy gorączka ta jakoś ustała, co mistrzowi Henrykowi przypisać należy, wieźć go i nieść na przemiany do Sandomierza. Na wozie zbyt go rzucało i cierpiał więcej, mieniali się więc ludzie z noszami i powoli jakoś zawlekliśmy się na zamek.

Alc, chociażśmy zawczasu tam oznajmili, aby izby chędogo wyporzadzono i poopalano, bo najgorsze jesienne w murach starych i niezamieszkałych powietrze, gdyśmy stanęli na miejscu, nie było gdzie chorego położyć, takiśmy zastali w je-

dnym izbach zaduch wilgotny, w drugich chłód przejmujący...

Nie długośmy też tam popasali, bo król do Krakowa spieszył. Było mu lepiej znacznie, więc surowego mistrza Henryka niebardzo chciał słuchać, a Maciej korzystając z tego, weisnął się, chcąc mu przypochlebić. Nakazał był Henryk spoczywać, jeść niewiele, łaźni wcale nie używać, król się przeciwko temu dąsał, powiadając, gdy gorączka opuściła go, że się już całkiem zdrów czuje.

Nasz mistrz Maciej począł też w to grać, mówiąc królowi, że najlepsza lekarka natura wskazuje chorym, czego im potrzeba, i do czego tylko smak król czuje, żeby sobie swobodnie zażywał.

Mimo więc Henryka, opierając się na tej radzie, poszedł król gwałtem do łaźni, choć dowiedziawszy się o tem lekarz z Kolna, za włosy się chwycił.

Nie dosyć na tem, że mu wszyscy radzi służyć byli, nawieźli dlań jablek, gruszek i orzechów siłą, które król zawsze lubił.

Powstała o to kłótnia między lekarzami, bo Henryk trzymał, iż owoce gorączkę wznowić mogą, a Maciej się upierał, iż je natura na to właśnie dała, aby chłodziły i orzeźwiały.

Król posłuchał mistrza Macieja i zaraz po łaźni i owocach tych nocą znowu majaczyć zaczął.

Dopieroż trwoga nas zdjęła straszna, a mię-

dzy lekarzami powstał spór taki, iż Henryk chciał dwór opuścić. Jeden na drugiego zło składał.

Z gorączki król pragnienia straszego dostał, wołając wody... Mistrz Henryk nie chciał jej dozwolić, Maciej się upierał, aby mu jej dano ile zapragnie, bo to przesilenie spowodzi.

Odstąpił więc koloński lekarz, ręce umywając, i wodę pić dano.

A tuśmy dopiero postrzegli, iż coraz gorzej być zaczynało. Król cokolwiek oprzytomniawszy, do Krakowa wołał i pędził.

Zaprosił go na spoczynek do siebie pan wojewoda lubelski, a że po drodze było, niesiono go tam.

Źle było. Mistrz Maciej dowodził wciąż, iż przesilenie bliskie, że wprędce choroba zniknie, że król do Krakowa zdrów przybędzie. Koloński Henryk patrzył tylko, ramionami ruszał i nie czynić już nie chciał.

Myśmy głowy tracili.

Mało co zabawiwszy u pana wojewody, kazał Kaźmirz nieść się do Krakowa, bo wozu nie mógł już dla boleści wycierpieć. Choć wojewoda na klęczkach prosił, Henryk spytany nie radził się ruszać, Maciej rzekł, że króla słuchać trzeba...

Więc, chociażśmy go okrywali, ale w porę chłodną i wietrzną powoli ciągnąc, często na spoczy-

nek dynną izbę mając tylko... z biedą okrutną dobiliśmy się do Koprzywnicy, do Cystersów.

Tu w klasztorze wygodniej mógł król spocząć a i na niczem nie zbywało, bo lekarstwa się u nich znalazły, i co dla chorego na stół było potrzeba...

I, choć spieszo było królowi do swojego Krakowa, że gorączka powróciła i wzmogła się, staliśmy z nim w klasztorze dni ośm.

Król, co przytomność cokolwiek odzyskał, pytał ciągle, czy już w Krakowie jest, nie pokoił się bardzo... Ośm dni: tylko przebylimy w Koprzywnicy, a stalibyśmy może dłużej i lepiejby było, ale Maciej, który na siebie wszystko wziął, też do Krakowa nagiął, mówiąc, że tu lekarstwa swe i księgi ma...

Ciągnęliśmy z chorym do Osieka — westchnął Rawa — i ja ztamtąd za rozkazaniem króla przodem tu przybyłem.

— Więc lepiej jest? zapytał Wierzynek nie-spokojnie.

— Maciej powiada, że nie gorzej, Henryk milczy, a wygląda jakby sam był na śmierć skazany... Żle, ja z jego oczu i milczenia wróżę.

Jak wprzód o wodę, tak w Osieku się jeszcze raz starli lekarze o miód. Król czuł się osłabionym bardzo; więc wina lub miodu starego zażądał.

Koloński doktor, który już do niego się mię-

szać nie chciał, zobaczywszy miód, który w kubku niesiono, wpadł we wściekłość.

Zawołał wprost, że nieuk króla zamorduje, jeżeli mu pić da miód.

Maciej na złość i przekorę królowi miodu zanieść kazał. A, co prawda, wyznać muszę, iż się przepowiednia Henryka ziściła, gorączki chory dostał a sił mu nie przybyło. Bóg jeden wiedzieć raczy, jakim go doniosą do Krakowa...

Kończąc, Rawa sparł głowę na rękę i zamilkł, ponuro zadumany.

Wierzynek stał, dłonie zacisnąwszy, a dwie łzy mu po twarzy spływały.

— A! nie! nie! przerwał nagle milczenie — Nie może to być! Bóg nas tak nie skarże, nie dopuści... król nie jest stary... silną naturę ma, zwycięży ona...

— I myśmy tak sądzili — odezwał się Rawa. dopiero dni ostatnich trwoga nas opanowała.

Choroba ta straszliwie go wycieńczyła... a ja Maciejowi nie ufam, choć on ciągle prawi, że przesilenie nastąpi rychło...

— A król, król sam, jakże się czuje? co mówi? spytał niespokojnie Wierzynek.

Na pytanie to Kochan, pogrążony w jakichś smutnych myślach, nie dał długo odpowiedzi. —

— Nie chciałbym ani was, ni siebie nękać i odbierać nadziei, rzekł w końcu — ale król, król straszliwie zmieniony... Piękna jego twarz wy-

chudła, oczy tylko goreją ogniem jakimś straszonym... policzki wypalone, usta spieczone... Więcej drzemie i usypia niż czuwa, a przebudziwszy się nie zawsze jest przytomny. Sen ten niespokojny mistrz Henryk ma za złą oznakę, a Maciej powiada, że natura go zsyla, aby nim osłabionego pokrzepiła...

— Najlepszy lekarz pan Bóg! wykrzyknął gwałtownie się rzucając Wierzynek — ja w nim ufność pokładam, a jednemu i drugiemu z lekarzów wiary nie dają. Gdyby umieli co, niedopuszcziliby chorobie się wzmódz...

Zamilkli chwilę, słychać tylko było wyrywające się z ust ich westchnienia...

— Kiedyż przybędzie król? zapytał gospodarz, który nie chcąc odejść od Kochana, a w miejscu wytrwać nie mogąc, kręcił się około niego, jak nieprzytomny.

— Nie wiem i obiecywać nie nie mogę — odparł Rawa. — Nieść go muszą powoli, nieustannie spoczynek potrzebny. — Któż odgadnie, co w drodze jeszcze zajść może?..

Tyle wiem, że i choremu, i Maciejowi do Krakowa pilno. — Ale gorączka pospieszyć nie daje — ale...

Drzwi się otwarły nagle i młodziuchny chłopak, pięknej twarzy, wyglądający pańsko, wpadł do izby. Nie pozdrawiając nawet Wierzyńka, podbiegł wprost do Rawy.

— Król? król? zapytał go głosem, w którym pospiesz, z jakim tu biegł, czuć było.

Rawa podniósł wzrok ku niemu, nie wstając z siedzenia.—

— Na Boga, co się stało? co się dzieje? Wiemy, iż przypadek na łowach miał? że po tem lepiej mu już było! Dla czego opuścili go? Czemu nie powraca?

Kochan nie dawał odpowiedzi...

— Mówże, abym choć ja do niego jechał!.. zawołał przybyły... — jeżeli gdzie obiegł? Nie gorzej jużci?...

Czekał napróżno odpowiedzi od Kochana, który na podłogę patrząc, milczał.

Wierzynek zwolna ujął go za rękę...

— Król nie jest lepiej, rzekł, niosą go tu z Osieka, rana nie zagojona... gorączki dostał... Żle się ma, ale nadzieja w Bogu...

Młody panicz rękę załamał...

— Wy tam nic nie pomożecie, choćbyście jechali do niego, odezwał się niedbale Kochan. Rychno go się tu spodziewać można... Żle jest...

— A lekarze?

Kochan ramionami poruszył i zamilkł.

Młodzieniec padł na ławę, i głowę zwiesiwszy, zadumał się, a twarz mu zmieniła się dziwnie...

— Co się ze mną? co się z nami stanie, zamruczał, uchowaj Boże nieszczęścia..

— Z wami? podchwycił Wierzynek... mówcie

z nami wszystkimi i z królestwem tem... Nie o was jednych idzie... Gdy jego nie stanie, wszystkim ojca zabraknie...

Słów tych domawiał Wierzynek, gdy głosy tłumne dały się słyszeć w sieniach... i kroki pospieszne... Sprzeczano się o wnijscie, którego oddziwny wzbraniać musiał. — Wołanie coraz żywszem się stawało.

Wiadomość o chorobie królewskiej, o przybyciu Kochana, rozeszła się już po mieście — mieszczanie i ziemianie, znajdujący się w Krakowie, chcieli zasięgnąć o stanie króla wieści od jego sługi. Dobijano się do Wierzyńka...

Jeden z przybyłych, któremu wstęp nie mógł być wzbroniony, wbiegł do pierwszej izby, drudzy gwałtem się za nim wparli.

Przodem szedł ks. Suchywilk... tuż cisnęli się mieszczanie, kilku dworzan z zamku, Dobek Bończa i syn kasztelana Krakowskiego.

— Król! król! zaczęto wołać od progu.

Kochan wstał, zobaczywszy ks. Jana, który z posępną twarzą przybliżał się ku niemu...

Tłum otoczył go natychmiast...

Uciszone się, aby usłyszeć spodziewane szczegóły. Wieści o chorobie króla już były tu doszły, lecz jedni im wiary nie dawali, drudzy sobie lekceważyli małą obrazę przy szwanku z konia, znając króla silnym i wielce wytrzymałym.

Dla ks. Suchywilka Kochan musiał, choć krócej, powtórzyć wszystkie szczegóły...

Sluchano ich z natężoną uwagą, a niekiedy wykrzykniki i płacz cichy przerywał mu mowę.

Na twarzach przytomnych malował się niepokój i trwoga.

Przyszłość bez tego króla, niepewne losy Polski, mającej się dostać pod panowanie obcego monarchy, przerażały...

Przeczcucia złowrogie mieli wszyscy, opowiadanie Kochana wcale ich rozproszyć nie mogły...

— Nie jestem lekarzem, odczuwał się ks. Suchywilk, lecz widzi mi się, że dwóm leczyć dać chorego, gdy się z sobą nie godzą — nie należało. Mistrza Henryka znam z nauki głębokiej, Macieja z serca dobrego, a żywego temperamentu... Czemuż Henryka nie sluchano??.

Kochan nie odpowiedział...

W tej chwili na lawie siedzący zadumany panicz młody wstał, przystąpił do Suchywilka, w ręce go pocałował, i rzekł głosem cichym.—

— Ojcie... nie zapomnijcie o nas...

Był to Jan Boguta, Rokiczany syn, z twarzy do króla podobny, a po trosze i z temperamentu... Majętności macierzyńskiej wiele już był utracił, król niezbyt go lubił i świadczył mało. —

Ks. Suchywilk dość zimno mu odparł.

— Król, mam nadzieję, tak źle nie jest, aby wszelka nadzieja odjętą została...

— Boże uchowaj! podniosły się głosy zgromadzonych...

— Byle do Krakowa przybył—przerwał Dobek, tu przecie więcej lekarzy się znajdzie...

— Mistrza kolońskiego słuchać potrzeba—rzekł ks. Suchywilk... Z kolońskiej szkoły po wielkim Albercie najlepsi medycy wychodzą.

Ten i ów zagadywał jeszcze Kochana, który pół słowy już tylko odpowiadając niechętnie, za czapkę ze stola wziął, i pokłoniwszy się gospodarzowi, za ks. Suchywilkiem wyszedł.

Poczeli się wysuwać i inni za nim, i wkrótce Wierzynek pozostał sam... a, choć godzina była spóźnioną, nie rychło poszedł na spoczynek.

Długo potem jeszcze w ulicach widać było niepokojnie się przesuwających ludzi, a gdy dzień następny chmurny i posepny miasto rozbudził, całe ono zdawało się jedną tylko troską o króla przejęte.

Nie mówiono po domach, po ulicach, po sklepach tylko o chorobie króla. Brali jedni stronę lekarza Macieja, drudzy Mistrza kolońskiego...

Duchowieństwo, pomimo licznych fundacyj kościołów i łask królewskich, pamiętne śmierci Baryczki, przyjaźni z Estherą, naostatek dnia, w którym król na polowanie jechał, nie chcąc poszanować uroczystości, źle wróżyło.—

Wszystko wydawało się mu mściwym palcem

bożym, który za śmierć kapłana swego na królu domierzał karę.

Gdy mieszczenie, żydzi, lud pospolity i mała garstka tych co bliżej stali Kaźmirza, boleli okrutnie na samą groźbę utracenia pana swego, znaczniejsza większość spozierała ku Węgrom z nadzieją, iż Ludwik naprawi, co im Kaźmirz popsował...

Rycerstwo szczególnie i duchowni zmiany tej chciwie i z upragnieniem wyglądało.

Można było poznać usposobienia z twarzy posępnych i rozjaśnionych.

Ci, co z Ludwikiem trzymali, tegoż dnia potajemnie wyprawili poselstwo do Budy, donosząc Elżbiecie i jej synowi o chorobie niebezpiecznej, wzywając, aby co rychłej spuściznę obejmować przybywali.

Dla innych nadzieja utrzymania króla przy życiu jeszcze nie była straconą. Nie mogli i nie chcieli przypuścić, aby zmarł ten, którego żywot był tak potrzebny, bo wlewał życie w tysiące tych, co pozbawieni go być mieli bez niego...

Król chłopów i biednych ludzi nie mógł się rychło w innym odrodzić... bo wieki zaledwie wydają wielkie umysły i serca te wielkie...

Jak skoro wiadomość o rychłym przybyciu króla do Krakowa potwierdziła się i stała pewną, codzien go tu wyglądać poczęto...

Codzień też przybyli gońce, których w ulicach zatrzymywano, dopytując tęskliwie.

Lecz ci nie przynosili żadnej pociechy... Niesiono króla już nieprzytomnego prawie, dopytującego ciągle, gdy z sennych marzeń się budził, ażali jest już w Krakowie.

Pamiętał Kaźmirz, iż mistrz Maciej tu go do zupełnego zdrowia przywieść obiecywał...

Nareszcie dnia 30 października oznajmiono, iż dnia tego król na Wawel przybędzie.

Miasto całe wyległo na ulice... a choć deszcz jesienny padał dnia tego ciągle, nikt nie zszedł się schronić, chcąc powrotu umiłowanego króla doczekać.

Już nad wieczór ukazały się wozy i konni; króla niesiono osłoniętego kablakami, na których skóry szczelno były poopinane.

Sześciu ludzi zwolna postępowało z nim w milczeniu, a obok noszów pieszo szli z głowami spuszczoneymi, lekarz, dwór, urzędnicy.

Pochód ten powolny, nosze te żałobne, cichość wielka, bo i w tłumie żaden gwar się słyszeć nie dawał, czyniły powrót królewski do pogrzebu podobnym.

Po cichu, łzy tłumiąc i jęki, płakali ludzie, spoglądając zdala na czarne owe mary, w których król żywy jeszcze, ale bezsilny, wycieńczony, bezpamiętny spoczywał...

Oczy ciekawych mogły tylko dojrzeć opon

czarnych, ludzi smutnych, orszaku, którego twarze opowiadały co cierpiał...

Lud zwolna szedł aż ku Wawelowi za panem swym, za którym wrota się zaraz jakby na wieki zawarły...

Pogłoski w mieście krążyły jak najsprzeczniesze nazajutrz. Utrzymywali jedni, że król oprzytomniał, mówił, czuł się lepiej, że nadzieja powróciła, drudzy że — nierozpoznawał nikogo i że najbliżsi we łzach czekali strasznej godziny...

Oprócz rozporządzenia koroną, która już niewątpliwie siostrzanowi Ludwikowi dostać się miała — król nie uczynił żadnego swem mieniem osobistem...

Pozostawił dzieci i wnuki, a oprócz potomstwa z pierwszej i ostatniej żony... syna jednego z Rokiczany, Jana Bogotę, któregośmy widzieli u Wierzynka, z Estery, jednego Niemirę, bo Pełka zmarł młodo, i córek kilka...

Wszyscy oni wyglądali od króla wyposażenia, opatrzenia losu swojego...

Tymczasem głośno już z tem odzywało się duchowieństwo, aby dzieciom Estery i Rokiczany żadnej nie dać spuścizny, pochodzenie ich uprawniającej. Chciano pamięć tych miłostek nieszczęsných zatrzeć na zawsze...

Czwartego dnia po przybyciu Kaźmirza do Krakowa nikt już nie rachował na dłuższe życie

jego... Henryk z Kolonii otwarcie oświadczał, że król, którego siły się wyczerpały, żyć nie może.

Mistrz Maciej u łoża królewskiego siedział płacząc, bezmówny, w dolnej izbie południowego skrzydła zamkowego...

Okolo tej części zamku gromadziły się tłumy tych, którzy przystęp na Wawel uzyskali... Opowiadano sobie po cichu, iż Kaźmirz całą umysłu odzyskał przytomność i sposobił się na śmierć, której zbliżanie się czuł od powrotu do Krakowa.

Dnia tego njrzano przybywającego na zamek biskupa, przyjechał Władysław książę Opolski, kasztelan, wojewodowie i pierwsi urzędnicy przywołani zostali...

W dolnej izbie tej rozpostrzygły się losy wielu — tylko los kraju pozostał wedle dawnych umów przekazanym Ludwikowi...

Przez cały dzień trwały, u łoża króla narady... Spisywano wolę jego. Umierający miał do zwalczania opór duchownych, niechęci rodziny prawej ku dzieciom, którym zaledwie małe mógł zostawić wyposażenie...

Od tej chwili zdawała się już śmierć króla nieodwołalną... Czekano tylko na odezwanie się dzwonów żałobnych na Wawelu...

Dnia piątego października grobowa cisza panowała w mieście, ledwie ze snu o rannym brasku rozbudzonym, gdy pierwszy dzwon wielki u Ś. Wacława poruszył się i jęknął...

Wielkiej duszy pan — nie żył... Płaczem rozległo się miasto...

Gdy za pogrzebem króla żałobą odziana z dworgiem córek szła milcząca Jadwiga, królowa, osierocona, opuszczona już, mająca wkrótce zstąpić z tego zamku, na którym nigdy nie panowała, czująca jak się do koła niej rozstępowali ludzie; we dworze murowanym w Łobzowie, patrząc przez oko na gałęzie drzew z liści obnażone siedziała niewiasta, piękna jeszcze, postaci wspaniałej, poważna, i jakby z bólu skamieniała. Czarne jej oczy, wlepione w szary widok jesiennym spowity mgłami, nie widziały nic, patrzyły w przeszłość i zapłakać nawet nie mogła. Dla niej wszystko się skończyło z uderzeniem dzwonu na Wawelu, nie król umarł dla niej, ale ona sama skończyła z nim.

Dziesięcioletnie chłopię Niemira, syn jej, siedział niedaleko, patrząc na matkę... nie rozumiejąc tej wielkiej boleści, która jej pamięć o dzieciach nawet odjęła.

Opodal nieco dwie dziewczeczki ciekawie i nieśmiało spoglądały też na matkę...

Cisza panowała dokoła — lecz wiatr przynosił na skrzydłach mokrych z Krakowa jęk od dalonych dzwonów...

Estera od powrotu króla przebrana, osłonięta, wcisnąwszy się na Wawel, stała czekając miłosierdzia. Nie żądała więcej nic, żadnego daru dla dzieci, żadnej ofiary dla siebie — jednego spojżenia, jednego stygnącej ręki uścisku.

Oczy króla szukały jej dokoła, serce czuło, usta się upomnieć nie mogły.

Surowe twarze duchownych i mężów, którzy słabości życia i serca nie znali, na straży stały, aby pożegnania nie dopuścić, wspomnienia nie dozwolić.

Ci, co niedawno dworowali i kłaniali się Esterze, przechodzili teraz koło niej, nie widząc jej i znać nie chcąc. Stała napróżno i czekała nadaremnie — niechciała ustąpić sama, dobrowolnie.

Drugiego ranka wyszedł kapelan królewski z brwią namarszczoną, z głosem ostrym i szyderskim — kazano oczyścić przedsienie, wszystkim obcym ustąpić z zamku...

A ona była obcą! Sama jej przytomność kalala zamek królewski, widzieć jej tu nie chciano. Kapelan głośnie zapowiedział, że wszyscy ustępować byli powinni, Esthera nie poruszyła się...

Zadumany Kochan Rawa przechodził, schwycił ją za suknię, która z ramion spadając, za nim się wlokła — ale nie odezwała się ani słowa. Podniosła zasłonę z twarzy, i spojrzała nań wielkimi oczyma...

Kochan stanął, poruszając ramionami...

Mógłże on tu co jeszcze?

Noc nadchodziła—szedł do królewskiego łóża...

Każmirz pogrążony był w tym śnie przedśmiertelnym, ciężkim, który często jest konania zwiastunem. Leżał, rznając się niespokojny, usta i oczy otwierały się niekiedy. Z ust wychodziły wyrazy bez związku, odbłyśki wspomnień wielu, ludzi wielu, cierpień długich... oczy patrzyły i nie widziały...

W chwili, gdy król zdawał mu się przebudzonym, Kochan zniżył się do ucha jego i szepnął mu jedno słowo, imię jedno. Drgnął król i oczy otworzył szeroko, szukał niemi cienia przeszłości—nie zobaczył nic, oprócz sługi i księdza.

Ksiądz na straży stał i nie opuszczał już łóża.

Powieki z wolna zapadły na oczy znużone — Każmirz usypiał i marzył...

Kochan wyszedł wolnym krokiem w przedśnienie. Na tej samej ławie, samotna, tam gdzie ją zostawił, siedziała Esthera...

Poczuła go przychodzącego, drgnęła, podniosła się, poruszyła nadzieją jakąś. Kochan nie śmiał jej odjąć słowy, ręce rozpostarł szeroko, głowę zwiesił — ruch jego wyrażał zwątpienie...

Podał jej rękę w milczeniu, wskazując ku wrotom.

Niema scena odegrała się między niemi dwójgiem, Esther wierzyć nie chciała opuszczeniu, za-

pomnieniu — sieroctwu, Kochan przez miłosierdzie chciał jej ostatnią odebrać nadzieję,

Prawie siłą uchwycił ją, opierającą się jeszcze, i pociągnął z sobą. Esther obejrzała się wahając, nagle jakby odzyskawszy moc duszy, odtrąciła rękę Kochana i krokiem poważnym iść poczęła ku bramie.

Rawa w milczeniu postępował za nią.

Z licznej i zamożnej rodziny Esthery, mało kto oprócz Lewka, zbliżał się do niej. Ona sama unikała z nią ściślejszych stosunków. poświęcając królowi, któremu pochodzenie przypominać mogła niemiłe. Współwyznawcy, dla których była opiekunką, gdy szło o sprawy narodu, szanowali ją i patrzyli pobłażająco nawet na to, że synów ochrzcić, jak było wolą króla, zgodziła się.

Lewek przychodził czasem do niej, gdy ważne sprawy wymagały, inni też jej nie potępiali.—

Lecz w ciągu lat tych mało kogo widywała, żyła od swoich odosobnioną i oprócz żeńskiej służby izraelitek nie miała przy sobie nikogo prawie.

W tej chwili gdy odepchnięta, osamotniona wychodziła z zamku, przeprowadzana przez Kochana, który litość jakąś miał nad nią; na drodze ku wrotom zjawił się, jakby oczekujący na nią, stary Lewko.

Teraz na niego przychodziła kolej, być opiekunem tej, która już nikogo nie miała. Domyśleć się było łatwo, iż wszyscy co okiem niechętnem

patrzali na te miłostki królewskie, które z latami stały się trwałem przywiązaniem, teraz korzystając ze zgonu, starać się będą upokorzyć, odpedzić gdzieś — ogołocić może ze wszystkiego kobietę, której za życia Kaźmirza ani się pozbyć, ani odegnać nie mogli od niego.

Lewko z obowiązku krwi przychodził jej w pomoc, i przez pamięć dla Kaźmirza, którego jako dobroczyńcę narodu swojego, czcil wielce...

Kilka słów, w języku żydów przemówionych z cicha, zatrzymały Estherę. Rawa zobaczywszy opiekuna tego, nie widząc potrzeby iść za nią, zawrócił ku zamkowi. Stary milezącą i posłuszną wyprowadził, ciągle po kilka słów szepcząc, za wrota.

To, co mówił, ona tylko zrozumieć mogła, lecz czy słuchała, czy słyszała, czy jakiegobądź słowo mogło jej w tej chwili trafić do duszy??

Prawie bezprzytomną wiodąc tak z sobą, kierując nią, bo nie wiedziała dokąd szła—Lewko u stóp góry do stojącego tam wozu ją wsadził i woźnicy jechać kazał do Łobzowa.

Stara służba Esthery czekała na nią i otuliła, posadziła, trzymać musiała przez drogę ciągle w osłupieniu rozpaczliwem pogrążoną. —

W Łobzowie spały dzieci, gdy ją przywieziono i bezwładną położono do łóżka. W ciągu królewskiego konania nikt się tu z zamku nie zjawił. Być może, iż Kaźmirza woła było albo ją wi-

dzieć, lub przynajmniej dać znać o sobie, lecz pilnujący łoża kapelan, biskup Florjan i inni duchowni pilnowali, aby nawet myślą nie powrócił do grzechu, którego wyrzec się musiał...

Przed zgonem króla jeszcze przybył stary Lewko. Znał on nadto Estherę, aby do niej z próżną pociechą spieszył, wiedział, że dla niej nie było jej — że żalu po królu nie nie mogło umniejszyć. Chciał tylko przynieść wiadomość, iż w rozporządzeniu ostatniem, o którym wiedział przez Wierzynka, i ks. Suchywilka, król o małym Niemirze, równie jak o Bogucie nie zapomniał.

Pomimo operu otaczających, przekazywał im wsie Kutaw, Jurznicz, Drugnię, i coś z ruchomości na pamiątkę.

Esthera wysłuchiwała opowiadania z tą obojętnością rozpaczliwą, która ją od choroby króla nie opuszczała...

Starzec wiedząc, jak małe na niej uczynił wrażenie przyniesioną wieścią, niepewien nawet, czy go zrozumiała, dokończył wierszem psalmu jakiegoś i — z politowaniem spojrzawszy na tę ofiarę, oddalił się, polecając służbie czuwanie nad nieszczęśliwą.

Tak dotrwała, ust prawie nie otwierając, Esthera, aż do tego ranka, w którym dźwięk wszystkich dzwonów Krakowa oznajmił jej, że wszystko było na wieki skończone...

Płakać nie mogła...

Patrząc na nią, skamieniałą, bezmowną, dzieci, które się nieśmiało zbliżyć próbowały, ogarniał strach jakiś. Mówiły do niej napróżno, targali za suknię, nie widziała i nie czuła. Oprócz służby, przerażonej i milczącej, w ciągu tych dni nie było nikogo...

W trzy dni po zgonie... pospiesznie — zbyt cicho i skromnie odprawiono pogrzeb królewski, lecz uroczystości tej, która wielkości zmarłego i zasługom jego nie odpowiadała, bo duchowieństwo zmarłemu nawet przebaczyć nie mogło wspomnienia ks. Baryczki — szczególnego blasku dodało zbiegowisko ludu. Z rycerstwa i ziemian, z urzędników znajdowali się ci tylko, których obowiązki powoływały — z tych ludzi, co w zmarłym jedyne go tracili opiekuna, cisnęły się tłumy, nie mogąc już do przepełnionego, a małego dostać kościoła, i zalegały podworca, drogę, stopy góry... Tłum ten stał w milczeniu uroczystem, smutnem, z prawdziwemi łzami, z nieklamany bolem po panu swoim.

Gdy dostojni już się niepokoiли, nowego wyglądając pana — ci czuli, że drugiego podobnego zmarłemu mieć nie będą.

W mieście panowała żałoba... bo miasto dzisiejsze za jego panowania powstało, wzrosło, można było rzec stolicą się dopiero stało i bijącym sercem państwa...

Żydzi, którym przystęp był bliższy wzbronio-

ny, zdala też przytomnością swoją chcieli okazać, iż nie byli niewdzięcznymi. Lewko wprost z pogrzebu pojechał do Łobzowa.

Już we drzwiach oczekująca nań stara służa Ruchła opowiedziała mu, że w stanie Estery nie było zmiany. Nie wychodziła z osłupienia, i nawet głosy dzieci wywieść jej z niego nie mogły.

Lewko nie odpowiadając, wysłuchał skarg Ruchli, pomyślał nieco i wszedł do izby.

Jak gdyby nie posłyszala go i nie zobaczyła, Esthera blada i zmieniona siedziała, patrząc suchemi oczyma w tę dal jakąś, po za światy, w której przebywała duszą.

Stary żyd stał długo zadumany, jak gdyby szukał środka, którymby ją mógł rozbudzić do życia. Po chwili wziął za rękę Niemirę i dziewczętą, przyprowadził je do matki, i rozkazawszy im chwycić ją za ręce z wołaniem po imieniu, czekał na wrażenie tych głosów dziecięcych, błagających i płaczliwych.

Dzieci długo powtarzały to imię matki, nim wreszcie Esthera zadrżała, wstrząsła się, i jak zbudzona, ze szlochaniem się ku nim rzuciła, wszystko troje obejmując rękami.

Naówczas Lewko zbliżył się do niej i powolnym głosem począł przywoływać do życia, w imię macierzyńskiego obowiązku.

Łzy długo powstrzymywane odpowiadały mu

tylko, ale już Esthera żyła. Lewko spokojniejszy usiadł na ławie.

— Żal twój sprawiedliwy, — rzekł, — któżby go nie żałował i nie płakał po nim. Wieki długie wspominać go będą ludzie i cześć pamięć jego, ale matce zabijać się rozpaczą nie wolno... Wielkie szczęście i cześć wielka spotkała córkę Izraela, trzymała w dłoniach swych serce pana, który jej wiernym pozostał do zgonu, ale Bóg zawsze szczęście płacić każe łzami i bolem, a Imię Jego i w boleści i we łzach niech będzie błogosławione.

Piskłeta te żyć ci każą, aby sierotami nie były...

Esthera podniosła ku niemu splakane oczy.

— Nie dziwuj się żalowi mojemu, ani mi go za grzech poczytuj... — rzekła cicho głosem żnionym. — Błogosławię i ja Imię Pańskie, ale nigdy żadna niewiasta sierotą taką jak ja nie była. Odlączyłam się dla niego od narodu mojego... zaparłam krwi, wyrzekłam rodziny, któż mi teraz rękę poda, kto przyjmie?.. Dla miłości jego ludzie mnie na nienawiść i pogardę skazała... a wy?.. między wami ja też miejsca nie znajdę. Muszę więc być — samotną, odląconą i wyklętą.

— Dzieci! — zawołał Lewko. — Matce dzieci wszystko zastąpić powinny...

Ani myśl, by naród twój cię odpychał, pa-

miętny on jest tego, coś ty dla niego uczyniła... nie potępia cię, nie potępi, szanuje...

Milczeli, Esthera płakała.

— Jam tu przybył z radą, — dodał starzec. — Nie godzi ci się czekać na to, aby ludzie bez miłosierdzia, mściwi, z pod tego dachu z dziećmi cię wygnali. Ty sama, dla pamięci jego, dwór ten opuścić powinnaś.

Oczy Esthery podniosły się ku mówiącemu i utkwily w nim. Obejrzała się po ścianach mieszkania, którego każdy sprzęt jej króla przypominał, po komnatach pełnych zmarłego jeszcze... i płakała znowu.

— Tak jest, — odezwala się powstając żywo i znowu chwytając swe dzieci. — Siebie i tę krew jego od sromoty ocalić powinnam. Jedźmy... ale nie do Krakowa.. Chcę powrócić tam, do starego domostwa ojca, do Opoczna...

Jedźmy... Jeśli odbierać zapragną. co on mi dał, niech biorą wszystko. Zostanie mi po nim wiele, tyle, ile potrzeba, abym karmiąc się tem, doszła do grobu...

Nie odpowiedział Lewko, wstając także, chociaż wcale inaczej za nią myślał i rozporządził. Przewidując wybór z Lobzowa, przygotował wozy i spieszenie całe mienie ruchome Esthery ładować na nie rozkazał. Wiedział, że w pierwszej godzinie nadto wszyscy zaprzątynieni będą przyszłością, skarbieniem łask nowego pana i tych, co

prawdopodobnie w zachowaniu być mieli, by myśleć o Estherze.

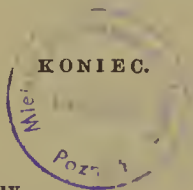
Spuścizna wielkiego króla, który, pomimo dzieł dokonanych, skarby zostawił ogromne, od Bolesławowskich czasów niewidziane w Polsce, rozsypać się miała na licznych spadkobierców. Dostojni panowie biegli przeciw Elżbiecie i Ludwikowi; nie myślał nikt o biednej Estherze, tak jak mało kto troszczył się o równie, straszniej może jeszcze osieroconej królowej, która nawet serca męża nie miała.

Dano jej więc ujechać z Łobzowa, i nikt cichej boleści nie uragał.

O lat parę zaledwie króla przeżywszy, którego dzieci też marnie, zapomniane, poginać miały — Esthera zmarła zabytą, miłość i cześć dla Kazimirza unosząc z sobą do grobu.

Na tron Piastów osierocony, imieniem wstępował węgierski król, sercem obcy krajowi, którego miłości pozyskać się nie kusił.

Król chłopów zstąpił do grobu z przezwiskiem tem, które dzieje miały na zasłużone Wielkiego zamienić imię.



Biblioteka Raczyńskich

JIK 181



JIK0181